

PAN HILARY.

PAN HILARY

ROZDZIAŁ I.

WIEŚ CZARNY-BÓR — WŁAŚCICIEL — JEGO RODZINA — OPIS DOMU.

Są zapewne ciekawi, którzy gotowi przeglądać Statystykę królestwa, aby wynaleść dobra Czarny-bór. — Pozostawiamy im tę wolność i nie chcemy oznaczać miejsca, gdzie one leżą, nie wymienimy ani powiatu, ani najbliższego miasteczka, z kąd pocztę odbierają; ale wprost przychodzimy do krótkiego o-

nych opisu, który może posłużyć za wykaz hipoteczny dla jakiego spekulanta, wypożyczającego kapitały na pierwszą hypotekę, za opis dla jakiego amatora pięknego położenia, w końcu, dla jakiego lubownika łowów i rybołówstwa.

— Dobra Czarny-bór podług wykazu hipotecznego warte są, albo raczej kupione zostały za czasów austriackich w drodze dobrowolnej umowy przez ś. p. Wawrzeńca Bułatowicza za sumę złp. 500,000, w ważnej, złotej i brzęczącej monecie, jak wyraźnie hypoteka opiewa.

Pan Wawrzeniec Bułatowicz, z dawniej litewskiej pochodzący rodziny, chociaż człowiek podeszły i dietny, jak na swój wiek dobrym był gospodarzem; dla tego po jego śmierci, majątek znalazł się w dobrym stanie, nie obdłużony, i znaczne przynoszący dochody.

Pan Bułatowicz miał dwóch synów i córkę. — Jeden z nich, bawił wciąż przy

ojcu, trudnił się, jak mówił gospodarstwem i po jego śmierci został przy majątku. — Imię jego było Kajetan. — Drugi brat, imieniem Kasper, bardzo młodo wszedł do wojska, zwiedził wiele świata, utracił dużo swego majątku i zdrowia, a za to wszystko przyniósł dużo doświadczenia, i chociaż nieuczony, wyrobił zdrowy sposób myślenia.

Siostra tych dwóch braci, którzy długi czas byli z sobą rozłączeni, poszła za mąż za człowieka, który posiadał wszystkie przymioty, dla których mógł się podobać, ale który zarazem lubiał świetność, i na świetność zarobić nie potrafił — żyła ona z nim czas jakiś bardzo wesoło, później coraz smutniej, w końcu w ubóstwie i umarła, zostawiwszy siedmioletniego chłopca, którego wychowaniem rodzina zająć się musiała.

Pan Kajetan, po śmierci rodzica odziedziczywszy dobra Czarny-bor, z warunkiem spłacenia reszty rodzeństwa, ożenił się z kobietą, ze znakomitego pochodzą-

cą domu, mającą mniejszy prawda posag, niż potrzeby i wymagania, spłacił zupełnie siostrę, a młodszemu bratu pozostał dłużny summę złp. sześćdziesiąt tysięcy, która cały jego fundusz stanowiła do życia.

Po ożenieniu, pan Kajetan Bułatowicz uchodził za bardzo możnego człowieka, tak nawet się prezentował; bo miał liczną służbę, karety i powozy, dawał bale i zabawy i mieszał się z arystokracją.

Na takie życie więcej było potrzeba niż dochody z Czarnego-boru i dla tego zaciągały się długi u kupców i żydków, które chociaż nie figurowały w hipotece, ciążyły na sumnieniu pana Kajetana.

Pomnożenie się rodziny jedném dziećciem, zachwiało finansami, bo życie tak samo wieść należało, a przyszły potrzeby mamki, piastónki, bony, lekarzy, zabawek, cacek i niezliczonych fantazyi, które przychodziły matce i ojcu, oboj-

gu rozradowanym odrodzeniem się w pierwotnym dziecięciu. — Dziecięciem tym był znajomy nam nieco pan Hilary.

Jakby wyższą, nadludzką istotę, wyjętą z pod ogólnych praw cierpień ludzkości i przeznaczoną postępować po ścieżkach usłanych kwiatami, miłość ojca i matki otoczyła wszelkiemi wygodami i pieczyotami. — Gotowano mu złotą i jedwabną przyszłość, a nie pomyślano nigdy, że los często sprzecznie z naszymi marzeniami lubi stroić igraszki.

W rok, drugie dziecko, ale tym razem płci niewieściej, powiększyło rodzinę państwa Bułatowiczów. — Radość ojca i matki była niewypowiedziana. — Dla dziecka marzono piękność anioła, świetność księżniczki, szczęście nie zachmurzone niczém i chowano stosownie.

W tym czasie, zdrowie pani Bułatowicz cierpieć nieco zaczęło i doktorowie radzili wody w Ems.

Stan interessów pana Bułatowicz, jakkolwiek w gruncie nie nader pomyslny,

z pozoru jednak świetny, nie pozwalał nawet namyślać się co do wyjazdu żony. — Zdrowie ukochanej osoby wymaga, ton dobry zyska na tém nie mało, przejrzy się nieco krajów, rozerwie nieco — zatem cokolwiek ma kosztować, jechać potrzeba.

— Sprzedał więc pan Bułatowicz jeszcze na pniu stojące zboże, wziął kilkanaście tysięcy i kazał gotować się do drogi. — Mówiemy gotować, bo nie mało osób miało udać się w podróż a wszyscy po pańsku.

Doktorzy zalecili prawda wody dla samej pani; lecz ona sama udać się tam nie mogła i mąż musiał jej towarzyszyć. Troskliwość rodzicielska, nie pozwalała zostawić dzieci pod obcem okiem, bo ciągle niespokojność mogła pogorszyć zdrowie matki, z téj przyczyny, koniecznością było wziąć z sobą dzieci.

Dla dzieci koniecznemi były mamka-piastónka, kolebka, łóżeczko, koniki i wózki. — Dla rodziców nie zbędnemi: ku-

charz, kuchta, panna służąca, dwóch lokai, kamerdyner i kilku chłopców.

Gdy zajęto się wyrachowaniem osób, które miały udać się w podróż, liczba ta urosła do piętnastu; ztąd zaś wypadek oczewisty, że oprócz karety państwa, musiał iść jeszcze powóz i bryka. Koni zaś było wszystkich aż siedemnaście.

Kosztowną zaiste była ta droga i pieniądze za sprzedane zboże, nie wystarczyły, ale wydatek wynagrodzonym został, naprzód, polepszeniem zdrowia pani Bułatowicz, następnie oddawanemi honorami podróżnym przez Niemców. — W końcu zaś powiększeniem się jeszcze rodziny, jedną córeczką.

Po powrocie z wód, pan Bułatowicz doznał wiele smutku, bo zboże płaciło ów czas dobrze, a on na pniu sprzedał prawie za pół ceny. — Następnie, trzeba było płacić podatki, a fundusze były wyczerpnięte i na nowe potrzeby z nie-

jakim trudem musiał nowe zaciągnąć długi.

Choć rok przeszły dobrze dał mu się we znaki, w następnym toż samo musiał uczynić, bo lekarze dla zupełnego skutku, koniecznemi wody widzieli i na zaspokojenie długów nowe potrzeba było zaciągnąć.

Tak przez lat kilka, pan Bułatowicz, dbały o zdrowie swojej małżonki wraz z całą rodziną odprawiał podróże do wód, teraz na przemiany to do Baden, to do Carlsbad, to w końcu tylko do Krynic. Co rok widział pomnażające się swoje potomstwo które wzrosło do liczby siedmiu, to jest trzech chłopców i czterech córek, i co rok potężniejszych doznawał kłopotów, aby wszystkich potrzeby, na dawną zaspokoić skalę.

Dwór pana Bułatowicza, jakkolwiek obszerny i wygodny, dla pomnażającej się ludności, zaczął być ciasnym i niewygodnym i myśleć potrzeba było o jego rozprzestrzenieniu. — Dobudowano

więc dwa skrzydła, z których jedno przeznaczono dla dzieci, drugie zaś dla gości.

Liczby domowników trudno oznaczyć, bo co rok przybywały nowe służące, nowe nianki, nowe piastunki, nowe bony, guwernantki i guwernery — do ostatnich znowu, służący i służące.

Jakkolwiek wydatki nieskończenie przenosily przychody, pan Bułatowicz jednak pamiętał, że zawsze jego majątek kosztował pięć kroć sto tysięcy, że on był panem pół-milionowym, dzieci wszystkie pół-milionowe i że jako taki żyć powinien i że jako takie wychować je należy, aby na wszelki wypadek nie zrobić sobie wstydu, że dzieci źle wychował.

Dochody, jakie pan Bułatowicz ciągnął ze swego majątku i nad powiększeniem których nie mało nałamał sobie głowy, chociaż były odpowiednie pół-milionowemu majątkowi, nie dawały się przecież całkowicie używać — albowiem stan majątkowy był taki: naprzód w hi-

potęce, w dziale ścięśnien figurowało Złp. 60,000 należne jego bratu, następnie 40,000 które na ogromny procent zaciągnął, a prócz tego kilka nie wielkich sumnek, któreby mogły na dobrej wierze poprzestać.— Tak więc hipoteka ukazywała nie pięć kroć sto tysięcy majątku, ale cztery kroć.

W wewnętrznym zarządzie, pensye guwernerów, guwernantek, bon, nianiek i mamek, wynosiły do dziesięciu tysięcy. W wydatkach figurowała corocznie kuracya żony i dzieci do trzech tysięcy.— Podróż do wód dziesięć, albo piętnaście, utrzymanie domu dziesięć, albo dwanaście i t. d. Tak więc nie licząc sprawiania powozów, fortepianów, nadzwyczajnych innych wydatków, potrzeby familii wynosiły około czterdziestu tysięcy.

Pan Kajetan Bułatowicz wcale był systematycznym człowiekiem, bo miał zwyczaj zapisywać skrupulatnie najmniejszy wydatek i dochód choćby najdrobniejszy; przecież rzadko lubiał bilansować liczby

może dla tego, aby nie wpadać w zły humor.— Z tego względu, choć nie raz czuł potrzebę zaoszczędzenia się, ociągał wyrównanie swoich interressów, nawet ujrzenie ich w prawdziwem świetle. Rzeczy szły po dawnemu; ale nie raz pan Kajetan porządnie się zamyślił.

Jak dobry ojciec, myśląc nie raz nad przyszłością swojej rodziny, składał radę z uczoną małżonką i projektował, że aczkolwiek z podzielonego majątku nie wielkie będzie mógł wydzielać posagi; jednak mądre pokierowanie dzieci, zapewni im byt świetny, a nawet wzmoże familijną wielkość.— Mówił więc: potrzeba dać wychowanie dzieciom, bo go duch czasu wymaga; wychowanie stanowi wartość człowieka, nadaje polor i prowadzi do pomyślności. W tym względzie, nieco zmienił pan Bułatowicz dawne swoje zdanie, że człowiek tyle jest wart, o ile może wyliczyć swoje majątkowe zasoby.— Smutna okoliczność, że majątek jego podzielony pomiędzy liczne po-

tomstwo w wcale nie wielkie zmieni się liczby, skłoniła go zapewne do szukania innych zalet człowieka, któreby go zawsze wyżej stawiały nad innych. Myśl ta przecież była przelotna i tylko wtedy przychodziła kochanemu ojcu, gdy myślał o podziale, a ten nie w myśl jego wynikał.

Z tych względów, pan Bułatowicz tak marzył: Najstarszy mój syn, zostanie urzędnikiem.— Pochodząc z dawnej rodziny, dobrze wychowany młodzieniec, będzie postępował szybko, pokona wszelkie przeszkody i z niedługim czasem może wznieść całą rodzinę, zrobić majątek i prawdziwą przynieść pociechę na moje stare lata.— Młodszego syna przeznaczam do stanu duchownego, a urodzenie jego znaczną mu da przewagę. Na niższych stopniach chleba mu pewnie nie braknie, na wyższych zaś, których nie zawodnie dostąpi, spłyną na niego honory i dostojenstwa, które niegdyś piastowali moi przodkowie.— O los córek tak-

że troszczyć się nie powinienem. Piękne jak anioły, wykształcone i utalentowane bez wątpienia popochodzą za mąż za hrabiów, albo książąt, a chociażby w najgorszym razie za bogatych szlachciców. Wszak mniej piękne, niższego urodzenia i nie tak starannie wychowane, wielkie nie raz porobiły karyery.

Rozumowanie to bardzo trafiało do przekonania czulej żonie i matce, *godziła się na niego zupełnie, a chociaż co do synów, wolałaby, aby mogli być udziałnemi książętami, poprzestawała na dygnitarskich stopniach.

Zwyczajną to było rzeczą, że pan Bułatowicz lubiąc się pieścić swojemi marzeniami, mówił o nich w obec dzieci, a nawet i do dzieci, które chociaż nie pojmujące ani towarzyskiego porządku, ani rozumiejące stopni, jakie w naszym towarzystwie się wznoszą, wyrobiły sobie pojęcie wielkości, jaka niezawodnie ich czeka.

W dziecięcym przekonaniu wyrobioném

na przykładach rodziców, dzieci państwa Bułatowiczów uważały się jako zrodzone dla rozkazywania drugim. — Wszystko cokolwiek ich otaczało, musiało być uległym i posłusznym, ztąd wyprowadzały wniosek, że z czasem, gdy dorosną, gdy z bogacą się naukami, o których im mówiono, jako o środkach wyniesienia się, wszystkich ludzi ujmą w swe wędzidła, będą niemi rządziły i odbierały od nich pokłony.

Prostym i naturalnym sposobem we wszystkich dzieciach pana Bułatowicza, wyrodziła się bezrozsądna duma, która na każdym piętnowała się kroku. — Lokaj, ekonom, pisarz, dozorce, byli dla nich niewolnikami, którzy nie mają ani wspólnych z nimi potrzeb, ani czują głodu i pragnienia, ani doznają zimna i upału, ani pojmują upokorzenia równego sobie człowieka. — Jak rodzice, tak i dzieci swoich nauczycieli i guwernerów, uważali za niższe od siebie istoty, żyjące dla nich tylko, dla ich posługi, które

powinny mieć za wielkie szczęście, że ich przyjęto, że im jeść dają, że drzeć powinni z bojaźni, aby z głodu nie pomarli, gdy ich fantazyja ojca lub matki miejsca pozbawi.

Dziwić się zupełnie nie wypada biednym dzieciom, że prawie u kolebki tyle zarodów złego w piersi i w głowę przyjęły. — Wszak wiemy, że człowiek kształci się na cudzych pojęciach, sam nie wiedząc jak, przejinuje cudze myśli i czucie i że trzeba silnego charakteru, aby przy poznaniu złego i dobrego, umiał się wybić z przesądów, jakimi go pierwsze pokalało dzieciństwo. — Dzieci państwa Bułatowicz patrzyły ustawicznie na swoich rodziców, słyszały ich rozmowy i pamiętały postępowanie.

Cóż może być wart pan nauczyciel, lub guwernantka, którzy służyć muszą, aby żyli? Cóż może być wart człowiek, który nie jeździ powozem? Cóż znaczy osoba, która nie ma jak ich ojciec dóbr nazwanych Czarny-bór? Jaka to niska

istota, która grzebie w ziemi, aby mali Bułatowicze mieli drobną kaszkę i białe bułeczki!...

Pan Bułatowicz i jego małżonka mową, gestami, rozmowami, postępowaniem w dziecinne umysły zaszczepiali swoje pojęcia — Chociaż wyznawcy nauki Chrystusa, znali ją tylko tyle, że na mszy bywali w kościele; ale ani ciekawi poznania jej gruntu i ducha, ani sercem czujący potrzeby w człowieku widzenia brata, bliźniego, poprzestawali na suchy katechizmowej nauce. — Chociaż czytający książki, jeżdżący nawet za granicę, nie pojmowali, że kapitałem jest praca i zdolność człowieka, i dla tego, do wyrazu kapitał przywiązywali pojęcie pieniężne i jeżeli kto największą mógł wymienić liczbę, był w ich przekonaniu najbogatszym. O wartości człowieka duchowej, uzasadnionej na czystych uczuciach i na zdrowych pojęciach, nie mieli nawet wyobrażenia i dla tego człowiek cnotliwy, a ubogi, zdolny, a nie mający

powodzenia, zamiast współczucia, obudzają w nich jakiś wstręt, lekceważenie, a nawet i odrazę, których ukrywać nie widzieli potrzeby.

Pan Bułatowicz, zacny obywatel, dobry sąsiad, przyjemny człowiek, najlepszy mąż, troskliwy ojciec, w pożyciu towarzyskim miał zwyczaj naginania się i układania stosownie do potrzeby, stanu osób, okoliczności i swojego mniej więcej korzystnego położenia.

Potrzebujący czego, nadzwyczaj grzesny, uprzyjmy, pełen ukłonów, jedwabnych słówek i obietnic. — Świadczący jaką przysługę, dumny, lekceważący, dający poznać wyższe swoje stanowisko i zarazem oceniający na łuty i drachmy nikczemność swoich poświęceń.

Z ubogimi nadęty, mało mówiący, często nosowaty, cedzący przez zęby, zimny i trzymający ich w pewnej oddali, aby się nie poważyli do niego zbliżyć i żądać czegokolwiek. — Z bogatymi uprzedzający, mówiący donośnie, wesoly, swo-

bodny, grzeszny, lubiący się dla nich poświęcać, zawięzywać z niemi stosunki, przyjaźnić, szczerzyć ich znajomościami i na każdym kroku, okazujący szczególną życzliwość. — Zgola, pan Bułatowicz na każdym kroku swego postępowania, był innym; odcienia te każdy mógł dostrzedz, a dzieci które go znały od kołyski, uważały w nim swój wzór doskonałości i szły trop w trop za przykładnie prowadzącym rodzicem. — Pani Bułatowicz, chociaż często żyjąca w niezgodzie z mężem, pod względem taktu postępowania nigdy mu nie dawała powodów uskarżania się. — Grzeszność małżonki, jej uczucia, uprzejmość, poważanie, dawały się obliczać na skalę, majątku, lub wziętości osób, z którymi żyła.

Nie tylko sąsiedzi i znajomi doznawali podobnego obchodzenia się ze strony państwa Bułatowicz, które ludziom zwyczajnym wystarcza, a nawet się podoba, ale najbliżsi krwią, stosunkami, zażyłością, cenieni byli od nich stosownie do

swój zamożności, albo znaczenia. — I tak wujaszek samej pani Bułatowicz, człowiek stary i bezdzietny, zawołany w okolicy kutwa i dla tego bogaty, był dla całej rodziny bożyszczem. — Szanowali go rodzice, całowały po nogach dzieci i zawsze był upragnionym gościem.

Wujaszek ów był przedstawiany jako wzór godności człowieka, jako cel, do którego dążyć potrzeba, a podobanie się jemu, jako warunek zasługi dzieci.

Gdy kazano dzieciom być grzecznymi, mówiono im, że wujaszek ich pochwali, gdy kazano im, się uczyć, powiadano, to wujaszekowi będzie się podobało. — Gdy zagrożono karą, mówiono: będzie to wiedział wujaszek.

Tym sposobem ów stary, brzydki wujaszek, nieczuły, zimny, samolub, był bożyszczem w oczach dzieci. — Dla czego? — bo po owym wujaszku znacznej spodziewano się sukcesyi.

Po wujaszku, drugie miejsce zajmo-

wał w umyśle młodych Bułatowiczów, daleki krewny tego nazwiska, który na znacznym stopniu posiadał wziętość. — Był to ideał według którego zamierzono kształcić małego Hilka.

Jakkolwiek ów jegoutość, jak wszyscy mówili, nie miał ani głowy, ani serca, ani żadnego przymiotu, za który ludzkość płaci błogosławieństwem, chociaż nawet jego powierzchowność była cierpką i odrażającą, rodzice przedstawiali w nim godny naśladowania model, przypisywali rozum i liczne przymioty i ustawicznie powtarzali panu Hilaremu, aby był takim.

Po owym dygnitarzu, następowali bracia i siostry pana Bułatowicza, stopniowo i stosownie do ich wziętości.

Podobno nie ma rodziny, któraby nie miała biednych i ubogich, potrzebujących pomocy i nierozsądnie odwołujących się do bogatszych swych członków. Miała ich rodzina państwa Bułatowiczów także, a miała tak z miecza, jak po ką-

dzieli — bo ci ubodzy stryjaskowie, ciotki, dziadki i babki, rzadko słyszeli swoje rodzinne tytuły, ale nazywano ich, a nawet i same dzieci, panem Stanisławem, Józefem, Wincentym, Michałem, panią Józefową, Wincentową, Michałową i t. d.

Czasem poczciwy staruszek, w najlepszej myśli chcąc odwiedzić swego krewniaka, zalał się w kąciku łzami, gdy mu nie odrosłe od ziemi dzieciaki mówiły po imieniu i kazały sobie jak słuzalcowi posługiwać i dogadzać fantazyom, co wszystko biedak, aby nie obrazić rodziców musiał i znosić i wypełniać.

Lekceważenie dzieci pochodziło z rodziców i na dowód, jak je nawet starano się przelewać, opowiemy jeden wypadek:

Bliski krewny pana Bułatowicza, bo nawet brat stryjeczny, chłopiec służący wojskowo, zdolny i dobrze się prowadzący, gdy w dalekich stronach w czasie bitwy, utracił swoje bagaże i dla

umundurowania się, jako świeży oficer, nie miał funduszków, udał się do pana Bułatowicza z najpokorniejszą prośbą, aby go w tak przykrem zaratował położeniu i pożyczył Złp. 500. List był tak grzeczny, tak pełen ufności i przywiązania braterskiego, a przytém obejmował opisy trudów i niewygód wojennych, nadto wiadomość, że piszący był rannym i jeszcze zupełnie zdrowia nie odzyskał, że czytając go, łzy stawały w oczach i najzimniejsze serce doznałoby wzruszenia.

Pan Bułatowicz odebrawszy to pismo, pokręcił arystokratycznym nosem, przeszedł z dumą kilkakroć po pokoju i rzucając list na stół, mówił:

— Szczególni ludzie! oni myślą, że mój majątek dla nich posiadają. — Oh! darmo, moi panowie, ja mam żonę i dzieci, potrzebuję żyć inaczej jak wy i nikomu nic dawać nie mogę. — Wielkie rzeczy że mu zabrano bagaż! niechaj się obywa jak może, niech łąta mundur

i znosi swój stan.— Wszak od dzieciństwa przywykł do ubóstwa; w domu nie raz chodził boso, to i marszach może sobie dawne przypomnieć życie.— Piszże był ranny! wielka rzecz, alboż to jeden raniony? alboż to jeden ginie na wojnie? Kiedy panicz wchodził do wojska, powinien był na wszystko być przygotowanym.— Wreszcie, co mi do tego?... Mój ojciec nie raz prawda doświadczał pomocy od jego ojca, ale ja nic mu nie wzięłem, zaledwie go dwa, albo trzy razy widziałem.

— Co tam takiego? zapytała małżonka, widząc zaambarassowanego męża.

— Ot czytaj, odrzekł zwięźle pan Bułatowicz i chodził wciąż po pokoju.

Nastąpiły rozmowy o młodym oficerze, w których szepleniące jeszcze dzieci znalazły udział, wszystkie tak lekceważące i pełne upokorzenia, że gdyby je słyszał młody człowiek pożałowałby swojego kroku, wyrzekł się na zawsze rodziny, może nawet nazwiska i skonał

pierwój w najcięższej potrzebie, nim komukolwiek objawił swoje nieszczęście.

Było to właśnie w tym czasie, kiedy młody panicz (pan Hilary) przy pomocy licznie zmienianych guwernerów i guwernantek, chłopiec już dziesięcio-letni nauczył się paplać po francuzku, zgrabnie kłaniać, spoglądać dumnie, wszystkim rozkazywać i stawiać jakieś kulasy, które nazywano literami.— Chociaż zupełnie nie znał ortografii, bo Bóg pisał przez *u*, pozew przez *f*, i t. d. ojeiec chcący go wcześniej sposobić na urzędnika, używał często za sekretarza pisując listy do sąsiadów z zaprosinami na obiady, w czém podniecał próżność chłopca, że go będą chwalili. Otóż nazajutrz po odebraniu listu swego krewnego, zawołał Hilka, usadowił na krzesle, położył przed nim ćwiartkę sinego papieru i dyktował co następuje chodząc po pokoju i paląc fajkę:

„Dziwi mię, jakim czołem śmiesz żądać pomocy od ludzi, których znasz za-

ledwie.— Żeby coś wymagać, potrzeba mieć zaufanie, trzeba być w możności wyplacania się nawzajem, bo mój kochanku, w świecie każdy powinien myśleć o sobie. Ja jakkolwiek mam znaczny majątek, przecież mam żonę i dzieci i o nich naprzód myśleć potrzebuje; następnie wrodzony mam wstręt do biednych i proszę nie robić mi przykrości swojemi korespondencyami, a osobliwie takimi, w których wyrzekania drażnią mi zbyt czułe nerwy.— Gdybyś zamiast opisów twoich trudów i niewygód, doniósł mi, że awansowałeś, lub dostałeś znak honorowy, albo że z polityki wyniknie drożyzna, która zboże w ceny podniesie, byłbym wcale zadowolony.

Złoty ch sto, przez litość jako potrzebnemu a nie krewnemu poselam.”

K. Bułatowicz.

Sowicie swoją ofiarę kazał opłacić pan Bułatowicz, upokorzeniem, wstydem i boleścią, na które w sercu czującego swą

godność człowieka, nie ma ceny i okupu.— Musiał to czuć młody podporucznik, bo w kilka tygodni, odebrał pan Bułatowicz list wraz z jego stoma złotemi, który przeczytawszy pomiał, potem podarł w kawałki i rzuciwszy na ziemię, z gniewem chodził po pokoju i powtarzał: proszę, to głupiec!. dam ja jemu, niech mi tylko zajrzy do Czarnego-boru!

Nie wiadomo co pan Bułatowicz myślał uczynić swojemu krewniakowi, to przecież pewno, że on nawiedzać go nie miał zamiaru.

Podarte kawałki listu, lokaj widzący zły humor pana i przez to w ciekawość wprawiony, starannie pozbierał i przyniosłszy je jednemu z panów guwernerów, prosił, aby je złożył i wyczytał —

Skleiły się następujące wyrazy:

„Prawda, mało znałem ludzi osobliwie podobnych Tobie, mój panie; żałuję mojego kroku i wstydzę się, że go kiedy-

kolwiek czyniłem. — Piszesz pan że masz pan wstręt do biednych, ja zaś nierównie większy czuję do głupców, i jako z jednym z takich, wszelkich zrzekam się stosónków. — Pieniądze zwracam.”

Ludwik B.

Jeżeli często pan Bułatowicz podobne korespondencye dyktował swojemu synowi, spodziewać się należy pożądaných przezeń owoców. — Był to wyborny środek do zamknięcia wszelkich kanałów, któremi serce nasze otwiera się ku braciom, bliźnim; był to jedyny środek natchnąć niewinne jeszcze serce samolubstwem, była to recepta na wszelkie szlachetne uniesienia młodości; był to lód, który zamraża wszystko, cokolwiek w nas tli Boskiego, świętego, wyższego nad kały ziemi.

Niech nikt nie sądzi, aby rzecz z pozoru tak mała, nie wypiętnowała się w umyśle i sercu dziecka, aby w nim nie pozostała na wieki i żeby nie

zagłuszyła wszelkich dobrych skłonności, jakie nam daje matka natura.

Ojcowie i matki! Wy wszyscy, którzy pragniecie szczęścia swoich dzieci, marzycie o nim, Bóg wie po jakiemu, którzy często zamiast cnót, rzucacie w niewinne serca zarody złości, którzy zamiast spokojności usposabiacie je do zawiści, zazdrości i innych upośledzających człowieka uczuć, bądźcie łaskawi obejrzeć z nami tak mało znaczący z pozoru list pana Bułatowicza, zastanowicie się nad nim i stosowne wyprowadźcie wnioski.

Wyrażenie pana Bułatowicza: „Dziwi mię jakim czołem śmiesz żądać pomocy od ludzi, których znasz za ledwie” zapewne niekorzystne na młodym umyśle musi czynić wrażenie o człowieku, który czegoś potrzebuje od drugich. — W oczach dziecięcia, potrzeba jak tutaj była pojęta, jest niejako spodleniem, człowiek potrzebny jest istotą niższą, godną pogardy i lekceważenia.

— Następnie wyrażenie: „Każdy powi-
tlien myśleć o sobie” wyradza myśl
samolubstwa, którą człowiek unikczemnia
się.

W końcu, to wyrażenie że pan Bułato-
wicz ma wrodzony wstręt do biednych,
młodego jego sekretarza pewno uspo-
sabia do téj myśli, że wszystko po-
święcać należy, aby biednym nie być.

Całe postępowanie ojca, jest niejako
wskazówką dla dziecinnego pojęcia, że
o tyle ludzi cenić należy, o ile oni są
zamożni; następnie, jest zarodem rozer-
wania i lekceważenia najdroższych węzłów
ludzkości, które gdy pryskają pomiędzy
rodzeństwem, pomiędzy obcemi, żadnemi
być nie mogą; w końcu, uczy dumy i
chełpliwości z dopełnienia dobrego czy-
nu, który niknie gdy jest wyjawionym
przez dobroczyńcę.

Podobne owemu listowi wypadki sto-
sownie musiały działać na wykształce-
nie charakterów dziecinnych i niweczyć
wszelkie usiłowania nauczycieli, którzyby

chcieli jakieś zarody cnót zaszczeplić —
 tém pewniej, że kochana mama nie
 pominęła okoliczności, aby owych pła-
 tnych służących poniżyć w oczach dzie-
 ci. — Tego np. wywiodła ród z gminu,
 i obdarzała lekceważeniem, tego znowu
 znajdowała ubogim i wyśmiewała jego
 ubranie. — Tój znowu, przypisywała nie-
 skromność, zalotność, innój znowu nie-
 dołęźność umysłową, albo niepojmowanie
 swego przedmiotu.

Trudne było położenie owych nie-
 szczęśliwych męczenników, którzy czuli
 z jednej strony ważność swojego powo-
 łania, z drugiej znajdowali na każdym
 punkcie przeszkody w ojcu, albo matce.
 Walczyli i opierali się czas jakiś, w koń-
 cu, przemożną pokonani siłą, myśleli
 tylko, aby prędzej dokończyć roku i o-
 trzymać zapłatę.

Tym sposobem, wielu rodziców znie-
 chęcąją najlepszych nauczycieli, których
 i tak mamy bardzo nie wiele.

Gdy najstarszy syn pana Bułatowicza

miał lat dziesięć, córeczka jedna osiem, druga siedem, młodszy synek lat sześć i tak następnie, przybył z wojska jego rodzony brat pan Kasper.

Nieprzyjemne było to przybycie dla pana Kajetana, chociaż zewnętrznie znakami okazywał swoje zadowolenie; bo pan Kasper, osłabiony na zdrowiu trudami wojennymi, wziął uwolnienie ze służby w stopniu Majora, zamierzył odebrać swój kapitał i żyć z niego spokojnie.

Pan Kasper chociaż jednego z panem kapitanem ojca, chociaż razem byli wychowani, innego zupełnie był charakteru i sposobu myślenia. — Poprzestający na małym, pogardzający świetnością, pragnął po dniach niespokoju i zgiełku odetchnąć w zaciszu rodzinnej strzechy. — Na ludzi patrzył jako na równe sobie zupełnie istoty, przeznaczone do jednakowego szczęścia i podległe jednakowym potrzebom i dolegliwościom.

Wartość człowieka uważał nie z pozornych względów, ale z zewnętrznych jego przymiotów. — Siła ciała, dzielność umysłu, dobre serce, prawie równo u niego ważyły, bo w nich widział i środek utrzymania bytu i łańcuch ludzi pomiędzy sobą wiążący. — Choć niezabobny i jako żołnierz w nie wszystko wierzący, Ewangelją uważał jako doskonałość mądrości, jako jedyne prawodawstwo, które ludzkość uszczęśliwić zdoła, jako naukę Boską, stwierdzoną krwią Zbawiciela.

Zgoła, Major był dobrym i rozsądnym człowiekiem.

Potrzeba, świat, przygody, najlepszą są szkołą wykształcenia charakteru człowieka, byle tylko umiał nieuprzedzonym, zapatrywać się okiem, wglądać sam w siebie, oceniać stosunki i uczuwać swoje własne i bliźnich położenia.

Na szczęście, pan Kasper choć wychowany w przesądach, zdołał wnikać w swoje i bliźnich potrzeby — albo ra-

czój, pan Kasper pojął swoje położenie i umiał zastosować się do niego.

Wszedłszy do wojska, w czasie ciągłych wojen i potyczek, a wszedłszy w stopniu podrzędnym, widział, że w o-bliczu Boga, na polu bitwy, wszyscy są sobie równi, bo ulegający jednemu niebezpieczeństwu i przeznaczeni losem na śmierć, lub kalectwo. — W óbec grają-cych dział, gradu kul, milknąć musiało wspomnienie jakiegokolwiek dumy, jakiej bąc na świecie wyższości. — Stojący o-bok szeregowy żołnierz był jego bratem, towarzyszem, potrzebnym i przydatnym w chwili niebezpieczeństwa. — Nie po-gardzać niem, ale go kochać było po-trzebą i obowiązkiem. — Raniony na polu bitwy i uniesiony przez towarzy-szów, w żywej zachował pamięci ich poświęcenie; obchodzeniem się, łagodno-ścią, przyjaznym uczuciem, pragnął im za to odpłacić, jednać ich serca, być ich bratem, kochać ich i być wzajem kocha-ny. — Widok nagłych zmian losu i po-

wodzenia, także nie mało wpływał na sposób myślenia pana Kaspra. — Dziś żołnierz, jutro oficer; dziś mało znaczący dowódzca, jutro generał wiodący szeregi do boju; dziś w zaszczytach i honorach wodz, jutro w zimnej mogile spoczywający człowiek, albo ciężko raniony kaleka, dały mu to przekonanie, że człowiek wyższość swoją nosi w sobie i zewnętrzne przedmioty zupełnie na niego nie wpływają, same nawet talenta i zdolności są pod wyższemi rozkazami woli Przedwiecznego. — Ztąd pan Kasper spoglądał na każdego żołnierza, jako na człowieka, który nie długo może być generałem, na każdego generała, jak na istotę podległą śmierci i przygdom losu. — Ani pieniądze, ani urodzenie, ani znaczenie, nie były dla nikogo tarczą uchronną, wszyscy jednym ulegali prawom, wszyscy jednej słuchali woli.

Nie wiązał się więc pan Kasper, ani do swego majątku, który i sam zużywał

i pomiędzy potrzebnych współ-braci podzielał; nie olśniewała go ani wielkość, ani znaczenie, ani władza; wiedział tylko o swojej powinności i tę starał się dopełniać.

Pierwszy stopień oficerski przyjął z obojętnością człowieka, który pamięta, że po wyniesieniu, straszny może być upadek.— Następny, ani go wbił w rozumienie, ani dał przekonania o jakiejś wymuszonej wyższości.— Widział nową przed sobą powinność i myślał tylko o dokładnem jej wypełnieniu.

Po ukończonej wojnie, raz z przyczyny utraconych sił, powtóre z pragnienia spoczynku, o nakoniec, że był już mniej potrzebny, opuścił szeregi i zamierzył spokojnie, wpośród rodziny i przyjaciół życia dokonać.

Pragnieniem jego było, odebrać swoją summkę od brata, kupić mały kawałek ziemi, uprawiać go choćby własnymi rękami, otoczyć się szczerem i swobodnem twarzami, zatrudniać czytaniem, roz-

nową i pomaganiem bliźnim, ile siły pozwoła. — Na nieszczęście, pan Kasper zastał brata w nienajpomyślniejszych interesach, nie chciał pogorszać jego położenia i przyjął propozycją zamieszkania przy nim, pobierania procentu, z którego miał życie opłacać i w myśli tej znajdował nową przyjemność nieróżdzielania się z rodziną i wspólnego z nią pożycia.

Wydzielono mu osobne, acz we dworzec mieszkane, przeznaczono służącego i zapewniono wszelkie wygody.

Zaraz po przybyciu majora, przyszła wieść o śmierci jedynej ich siostry, która nic po sobie nie zostawiła, oprócz chłopca sieroty, który wzywał pomocy krewnych. — Zachmurzyła ta wiadomość oblicze pana Kajetana, chodził po pokoju i powtarzał, ja nie mogę, ja nie mogę, ja mam żonę i dzieci. — Ja temu nie winien. — Lecz na szczęście odezwał się major: Biedna Elżbieta, ona mię tak zawsze kochała i na honor, trzeba jej tę

miłość w jój dziecięciu odplacić.— Nie mam dzieci i miło mi będzie przywiązać się do kogós, kochać go, pracować dla niego.— Wiesz co Kajetanie, ja wezmę Kamilka, ja go wychowam na człowieka, a czego ja nie podolam, to przecież ty trzymasz jakichś tam guwernerów i nauczycieli.

— Ale zmiłuj się, mój bracie, zrobił uwagę pan Kajetan; cóż z tego, że weźmiesz chłopca, kiedy on zawsze będzie w moim domu? bo i ty sam...

— Ja jestem nie w twoim, ale we własnym domu, bo ci płacę za wszystko odparł pan Kajetan z oburzeniem, że poważono się, jego szlachetnym uczuciom opór stawiać.

Nie miał co pan Kajetan powiedzieć, westchnął tylko i umilkł.

Pan Kasper wyjechał w kilka dni; po miesiącu niebytności, powrócił do swego brata z siedmioletnim chłopczyną, bladym, szczupłym, łagodnym i nie śmiałym.

Krzywo na niego patrzył wujaszek Kąjetan, krzywiej jeszcze wujenka; lecz pan Kasper mało na to uważał.

Dziecię, sierota, znające swoje położenie choć nie z wyrozumowania, ale z instynktu, swoją wdzięcznością umiało zarabiać na przywiązanie majora, jednało co dzień więcej jego miłość, potrafiło uprzyjemniać nawet trudy swojego wychowania i zatrudniać ustawicznie sobą myśl swojego opiekuna.

Pan Kasper Bułatowicz z całym poświęceniem miłości rodzicielskiej, ale miłości rozumnej, chociaż bezżenny i nigdy nie mający dzieci, przemyślał nad stosownym do potrzeb i położenia kraju wychowaniem i postanowił stosownie do nich postępować.

Mówił on nie raz:

Mój brat i bratowa, wychowują swoje dzieci do szczęścia i pomyślności, których Boże daj, aby zawsze doznawały, ale nie pomyślą o tém, że człowiek ma rozliczne potrzeby, że musi żyć z ludź-

mi, że podlega rozlicznym dolegliwościom i wypadkom, że nosi w sobie zarody zgubnych namiętności, że w końcu człowiek tak, a Bóg inaczej rozporządza.— Mieć wiele potrzeb, przywyknąć do wygod, pragnąć aby nam wszystko ulegało, nosić w duszy zarody dumy, to wcale nie jest usposobieniem do szczęścia, nawet w najszczęśliwszym powodzeniu; cóż powiem w wypadkach i przeciwnościach? Oh! ja tak wcale nie myślę — Za nadto kocham Kamila i znam świat, abym mu własnymi rękami gotował cierpienia i zamiast wdzięczności z czasem, zyskiwał jego wyrzekania. — Ja nie chcę, aby był niewolnikiem swoich potrzeb, swoich namiętności i swoich marzeń; aby raz dumnie się wznosił nad bliźnich, z obrazą praw boskich i ludzkich, drugi raz, aby dla dogodzenia sobie, czołgał się i zniżał do rzędu zwierząt. Oh! nie, ja pragnę, aby był zawsze człowiekiem.— Jeśli Bóg pozwoli mu mieć dostatki, lub powoła, aby był przełożonym nad brać-

mi, niech zawsze pamięta, że majątek nie jest jego własnością, jest łaską Boga, powierzoną do mądrego użycia, aby otrzec łzy nieszczęśliwej wdowie, lub sierocie, kalece lub choremu.— Że władza, jaką ludziom Bóg powierza, powinna być środkiem więcej pomagania ludzkości, zaradzania jej potrzebom, niż źródłem, z którego mają płynąć nasze przyjemności.

Rozumowania majora, a za niemi, stosowne postępowanie, były widoczną sprzecznością wychowania dzieci państwa Bułatowiczów, które on na każdym kroku naganiał, a nawet swojemu Kamilowi, oszczędzając mu częstych upokorzeń, razem przestawać zabronił.

Początkowo, tak państwo Bułatowicz jak major znosili się wzajemnie, następnie, powstawały sprzeczki, w końcu, zupełne poróżnienie, które zakończyło się tém, że major wraz ze swoim Kamilem jadali u siebie, poprzestawali na swo-

jeń towarzystwie i byli jakby obcy dla całej rodziny,

Nie długo przecież tak trwały rzeczy.

Bracia zbliżyli się do siebie, podali dłoń zgody i przyrzekli znosić się wzajemnie. — W licznych interessach, pan Kajetan nie raz potrzebował narady, której chętnie udzielał major, chociaż często drogo ją kazał opłacić, bo przy zdarzonej sposobności, zawsze słowo prawdy, a gorzkiej prawdy, powiedział.

Pewnego dnia, znajdując humor pana Kajetana więcej usposobionym do słuchania, zaczął dowodzić mu, jak dobrze dzieci wczesnie przyuczać do towarzyskiego życia, do poznania potrzeb własnych i cudzych, do znoszenia się wzajemnie i doradzał, aby pana Hilarego już trzynastoletniego chłopca oddano do szkół publicznych. — Na samą tę myśl, zawołał pan Kajetan:

— Ah! przez Boga, cóż ty mi bracie doradzasz? czy chcesz, aby wszyst-

kie moje koszta na wychowanie, wszystkie moje starania na nic się nie przydały?

— A to dla czego?

— Chłopiec tak piękny, tak pięknie wychowany, tak grzeczny, tak dobrze ułożony, z taką prononcyacją mówiący po francuzku, zapomni wszystkiego i złych nabierze nałogów.

— Ha! ha! ha! na głos roześmiał się Major. — Mówisz, że dobrze wychowany?... Na honor, nie chcę cię martwić, mój drogi.

Zapomni, mówisz wszystkiego, a cóż on dziś umie? Liznął wszystkiego po trochu, a nic nie zna. — Umie rozprawić o wszystkiem, a nic nie rozumie. — Zuchwały, uparty, dumny, zarozumiały, leniwy, wszystko lekceważący, nietylko że dzisiaj nic nie umie, ale i nigdy umieć nie będzie, jeśli go nie wyuczy potrzeba. — Szkoły publiczne mój bracie, to mały świat, w którym wczesnie dziecię żyć się naucza.

To mały świat, mój bracie i zwyczajną to bywa rzeczą, że dobry uczeń, dobry kolega, zawsze dobrym bywa człowiekiem. — To co nazywasz złemi nałogami, jest podobno proszkiem w stosunku złego, jakie prywatne wyradzają wychowania.

W domu rodziców, dziecko jest panem, któremu wszystko dogadza, wszystko usługuje, wszystko pragnie się podobać. — W domu rodziców, ból głowy, odwiedziny sąsiada, przybycie ciotki, zbiór siana, trzęsienie gruszek, za przyzwoleniem nawet rodziców, uwalnia je od nauki, od wypełnienia obowiązków. — W domu rodziców, nierozsądne pochwały przyjaciół, pieśzcoty, zachęcania do nauki, czynią go zarozumiałym, lekceważącym, często opieszalym. — W szkołach publicznych, mój bracie, jego rozkazów nikt nie wypełnia, nauczyciele nie stosują się do jego woli, uczniowie, jego rówiennicy nie mają potrzeby ulegania i na samym wstępie, dumny i pra-

gnący władania charakter jest utartym, muszącym stosować się do konieczności. —

W szkołach publicznych, dla jego przywidzeń, dla urojonej słabości dla przybycia ciotki, lub trzęsienia gruszek, nauczyciel nie zawiesza lekcji, uczniowie muszą na nią przybywać o swojej porze, być na nie przygotowani, przychodzić w przyzwoitej odzieży i wczesnie przyuczać się do pełnienia obowiązków.

Nie sądz, mój bracie, aby to było małą rzeczą, że twoje dzieci przyzwyczajone są do noszenia szlafroków, ciepłego obuwia, futer i innych wygódek. — Pomijam, że to nie znaczny, ale zawsze szkodliwy wpływ wywiera na zdrowie, ale rzecz ważniejsza, że dziecię staje się ociężałem, a następnie, jego umysł mnićj działającym i pojmującym. — Nie dosyć, w szkołach publicznych, przekonywa się wychowane w przesądach dziecię, że jego urodzenie żadnego nie daje mu pier-

wszeństwa, ani uwalnia od pełnienia obowiązków; jednakowa ustawa, stawia je na równi z innymi. — W szkołach publicznych, dziecię poznaje wczesnie, że człowiek sam sobie wystarczyć nie może, że gdyby najbogatszym się rodził, w największym znaczeniu byli jego rodzice, zawsze potrzebuje ludzkiej pomocy, wsparcia i rady. — W szkołach publicznych, przymuszone żyć z rozmaitemi charakterami, umie się do nich stosować, znosić je, oswajając się z samem złem nawet. — Tym sposobem umysł jego łatwiej się kształci, serce w uczucia bogaci i jeżeli zakład odpowiada swojemu przeznaczeniu, uszlachetnia myśli i serce i wyrabia charakter. — Bo wierzaj mi mój bracie, dzieci jak ludzie umieją oceniać dobre, a karać złe. — Niezgodny charakter, słaby, podejrzliwy, jest od nich wysmiewany, pogardzany, niejako odepchnięty. — Uczeń który nie umiał znieść obrazy, przebaczyć jej szlachetnie, albo własnymi siłami odplacić; ale cho-

dział się skarżyć, na współuczniów ścigał karę, jest od nich znieawidzonym i często w późne lata nieprzyjaźnią ściganym. — Jak przeciwnie ci wszyscy, którzy umieli zaskarbić sobie miłość koleżeńską, oprócz najmilszych, bo szczerych uczuć, doznają od współ uczniów osłonięcia, wsparcia, pomocy, rady, nawet po wyjściu ze szkół, protekcyi i pomocy. — W końcu, mój drogi, wszakże Hilka masz na urzędnika sposobić, to przecież musi być w szkołach, aby mógł być przyjętym. (a)

Słuchał w milczeniu pan Kajetan długiej rozprawy brata, skrobał się w głowę i nie wiedział co na nią odpowie-

(u) Bez wachania więc powiedzieć możemy, że pierwotne domowe wychowanie, rzucone nasiona wiary i cnoty w dzieciństwie, przelanym z rodziców sposób myślenia, najkorzystniej wpływają, na całe życie dziecięcia.

(P. A.)

dzieć. — Ostatni argument najbardziej go pewnie przekonał, i odrzekł:

— Tak, tak, masz słuszość, mój bracie. — Ale cóż ja pocznę z moją żoną, której wspomnieć nie można, aby się dzieci kiedykolwiek z nią rozłączyły.

— Ha! ha! ha! to wybornie. — A przecież z nią zawsze być nie mogą. — Wszak ani ty, ani ona wiedzieć nie możecie, jakie jest ich przeznaczenie?

— Tak, zapewne — trzeba to o tem pomyśleć, odpowiedział pan Kajetan i wyszedł.

Widać rozumowania Majora utkwily mu w głowie, bo wieczorem długo o dzieciach z żoną rozmawiał i zakończył stanowczo, że Hilka do szkół oddać potrzeba.

Stało się — pan Hilary z żalem i boleścią matki, płaczem rodzeństwa, do szkół został oddany. — Nie bardzo mu one były przyjemne, bo nauki szły ciężko, współuczniowie nie bardzo go lubili i nauczyciele nie chwalili wcale.

Ukończył klasę sześć. — Jakaż to była dla niego radość, gdy ciężący mu zrzucił mundur, gdy przywdział suknie cywilne, różnobarwne, różnego kroju i nazwiska.

Był już młodzieńcem dojrzałym, bo miał lat dwadzieścia jeden, w piersiach rozliczne grały pragnienia i sam nie wiedział które wprzód zaspakajać.

Kochany ojciec i matka, rośli z radości patrząc na dojrzałego syna, roili mu złotą przyszłość, ślali dla niego drogę, ale nie myśleli, czy ma chęć i siły postępowania. — Naprzód Major mówił: mój bracie, twój syn dzieciak (bał się biedak powiedzieć że nie rozumny) teraz więcej jak kiedykolwiek trzeba mu przewodnika, a przewodnika bacznego i rostopnego. — Nikt go słuchać nie chciał.

Po kilku latach bezpłatnej aplikacyi, gdy pan Hilary utrzymywany jak paniel, wycieńczył ojca kieszenie, gdy inne rodzeństwo, osobliwie zaś panny po-

częły dorastać, pan Kajetan Bułatowicz w niemałym był kłopotcie; nie raz udawał się po radę do brata, słuchał cierpliwiej jak dawniej jego słów prawdy i powtarzał: Kasper ma słusność; ale cóż ja dziś zrobię?



w tym czasie pan książę
 w Niemczech był kłopotliwy; nie
 mógł się go rade do domu
 wrócić; jak kłopotliwy
 powracając; kłopotliwy
 w tym czasie



ROZDZIAŁ II.

NARADA DWÓCH BRACI—LIST OD SYNA— WYJAZD OJCA.

Było to rano, dzień pochmurny i drobny posypywał śnieżek.

Major siedział przy kominku, na którym dobry palił się ogień, trzymał jakąś dużą księgę w ręce i podparty dumiał.

Przy oknie, smagły młodzieniec, wesołego spojrzenia, oblicza szlachetnego

i ruchów wyrazistych, znamionujących szczerłość charakteru, czyścił starannie strzelbę.

Młodzieńcem tym był Kamil, jego siostrzeniec i wychowaniec.

Od sześciu miesięcy skończył szkoły najchlubniej, powrócił do swego wuja, który miał mu dać sposobność wyjechania na uniwersytet i czekając dalszych rozporządzeń przepędza przy nim czas na nauce i zabawie.

Major mógł chlubić się swoim wychowaniem — piękny i miły chłopiec podobał się na pierwsze wejrzenie. — Skromny, uległy, najlepszego serca, rozsądny i przyjemny wszystkim serca jednał ku sobie. — Umysł jego oświecony i wolny od przesądów, obiecywał człowieka, który ma być użytecznym ludzkości, dla której pracować pierwszym nauczono go obowiązkiem.

Oprócz wyż rzeczonych przymiotów, Kamil posiadał, rzadki charakter, silną i niezłomną wolę, która mimo przeszkód

i zawał dochodzi z chlubą do celu, jaki sobie zamierzy.— Silny i zdrowy był niezmordowanym w pracy, nieustraszonym żadną trudnością, ani niebezpieczeństwem.— Pojmujący rzeczy żywo i dobrze, posiadał w wysokim stopniu rozwiniętą wyobraźnię, która gotowa się była zapalać na każdą piękność, na każdy czyn szlachetny.

Czuły, pojmował drugich cierpienia, te nawet, które sam tylko w wyobraźni tworzył, litował się nad niemi i gotów był w każdej chwili nieść im pomoc.

Podobny młodzieniec chlubą byłby każdego ojca i matki, potrafiłby jednać najobojętniejsze serca, skłaniać najmniej umysły i torować sobie drogę do szczęścia, ale nie do szczęścia uzasadnionego na świetności, blasku i zbytku, lecz do szczęścia pochodzącego z własnego zadowolenia i z miłości ludzi cnotliwych.

Nie dziwny się więc zupełnie, że major pokochał się we własnem dziele, że

jak rodzony ojciec, więcej nawet, żył tylko w Kamilu i jego miłości, rozmawiał tylko o nim, nawet chętniej jak o swoich czynach wojennych i powtarzał: Bóg na stare moje lata prawdziwą dał mi pociechę.

I w rzeczy samej, ileż to miał zadowolenia, major, patrząc na chłopca z którego twarzy przeglądała sama niewinność i wyższe pojęcie! ileż nie doznawał radości, gdy wszystkich spojrzenia zwrócone ku niemu, witały go przychylnemi uczuciami, gdy z iskrzącemi oczyma niewinne dziewice ścigały jego spojrzenia, gdy wieśniacy i wieśniaczki nazywali go ukochanym swoim paniczem.

Jeszcze nie dosyć. — Z jakąż dumą patrzył major na swojego wychowanka, gdy na łowach strzał jego nigdy nie chybiał, gdy na nieujeżdżonym koniu przesadzał rowy i płoty, gdy śmiało rzucał się w wodę i niezmordowany, szeroką przepływał rzekę. — To moje dzieło powtarzał, tego wszystkiego ja go wyu-

czyłem i dzisiaj we wszystkim przeszedł mię chłopiec. — Niech co chce będzie, ale nie zawstydzę się za niego, ani Bóg mię nie będzie karał, żem go uczynił nieszczęśliwym.

Major z całą słusnością mógł sobie przyznawać wychowanie Kamila. — Postępował rozsądnie i Bóg pobłogosławił szczerym jego chęciom. — Pracował też szczerze, a pracował nie tak jak pracują zapłaćeni guwernerowie, którym dosyć gdy rodzice z grzeczności dzieci są zadowoleni, ale pracował jak ojciec, jak opiekun, jak człowiek rozmyślony w swojej pracy, jak chrześcijanin wypełniający Boską naukę.

Przykłady wszystko stanowią, powtarzał major i lepszy jeden czyn dobry, jak przeczytanie stu dzieł najuczeńszych, tamte znikają z pamięci, ten na wieki w sercu zostaje. — Mamy dziś wiele dzieł filozoficznych, uczonych rozpraw, mnóstwo dzieł moralnych, a czynów prawie nigdzie niewidać. — Dla czego?

Wszak prawie do kolysek przynoszą dzieciom moralne z rycinami książeczki, rozprawiają im o cnocie i moralności, a wiecznie stawiają przed oczy dumę, samolubstwo, chciwość, rozpustę, namiętności, a nigdy uczuć i czynów szlachealnych. — Szkoda pracy! wyrazy ulatują z wiatrem. — Kto chce wychować dziecko, sam naprzód powinien być człowiekiem; ojciec i matka wprzód mający wady, uszlachetniać się powinni na samo wspomnienie, że ich życie, ma być dziecku przykładem; naturalną nawet jest rzeczą, aby ich namiętności dały miejsce rzewnym i czułym uczuciom, jakie rodzi myśl o dziecku i o jego przyszłości.

Jak mówił, tak i postępował major. —

Rzekłbyś, że człowiek naprzód wychowany zwyczajnie, następnie przetrawiony w obozach, gdzie nabył i wad i nalogów, nagle się zmienił w innego, odzyskał młodzieńczą działalność, wzniósł

się duchem do doskonałości człowieka, przywołał wszystkie cnoty do serca, a wyrugował z niego namiętności i wady. — Jakby młodzieniec, nagle ockniony na błędnej drodze żywota, poznający potrzeby działalności ducha i nauki, jął się podeszły major do pracy, aby nią zachęcić swojego wychowanka.

Nie znał on nigdy co napomnienia, albo rady; co chciał, aby jego Kamil czynił, sam wprzód dopełniał. — Przywiązanie, jakie miał do swego wujka, kazało mu widzieć w nim wszystko dobre, naśladować go, zyskiwać jego zadowolenie i pochwałę.

Dobroczynność dawniej dla majora instynktowe uczucie, dzisiaj stało się potrzebą, aby z niej dać przykład. — Żaden ubogi i cierpiący nie odszedł od niego bez jakiegokolwiek pociechy; bywały nawet zdarzenia, że przyniesiony sobie obiad oddawał zgłodniałym, a Kamil w ten moment, szedł za jego przy-

kładem i na drugi raz, starał się go wyprzedzać.

Nie wzbraniał tego major zupełnie, ani do tego zachęcał, nawet nie raz pozwolił chłopcu być głodnym, aby czuł wagę swojej ofiary. — Widział przecież z radością, że rzewne uczucie zadowolenia nasycalo dziecinę i cieszył się, że dwie tak ważne cnoty, jakimi są dobroczynność i cierpliwość za jednym razem udało mu się zaszczerpić.

Jakkolwiek nie znający sztuki lekarskiej, poczciwy major ubogim wieśniakom, tak dla serca, jak dla przykładu swemu uczniowi, chciał pomoc przynosić i użyć do tego Kamila. — W lecie, gdy z dziecięciem wychodził na przechadzkę; zwyczajnie zbierał kwiaty i zioła, co chłopiec instynktownie go naśladowując, także robił z przyjemnością pytając: Co to za ziele mój wuju? na co one przydatne? jaką leczy chorobę? gdzie rośnie i jak się używa?

Wszystkie te zapytania z przyjemno-

ścią zaspakajał major, a jeśli nie raz obcą mu była nauka, odpowiadał: w domu z książki się o tém dowiemy. — I szperał stary żołnierz po Botanice, uczył się sam, aby nauczyć swojego wychowanka i cieszył się niewymownie, spostrzegłszy, że oprócz przechadzki pożytecznej dla zdrowia dziecięcia, przynosi ulgę cierpiącym, uczy dziecię dobrotliwości, użyteczności bliźnim, uczucia litości i zarazem samej nauki.

Ileż to korzyści z jednej dobrej, szlachetnej myśli!...

Zachęcony swoim powodzeniem, bo jedna myśl rodzi drugą, wysłużony żołnierz, postanowił w ogrodzie obrać kilka grządek i pielęgnować na nich inne pożyteczne, albo wdzięczne dla oka rośliny. Nic nie mówiąc Kamilowi, pewnego dnia, kazał sobie przynieść rydel i wdziawszy spancerek, wyszedł do ogrodu. — Ciekawy chłopiec udał się za nim. — Major zaczął ryc ziemię, a chłopiec liczne mu zadawał pytania; za-

spakował je czuły opiekun, a chłopiec rzekł:

— To i ja będę kopał, mój ojciec, wszak i ja mogę pracować? przytém, jak to będzie przyjemnie gdy nam powscho-
dzą kwiatki, które tak lubię, albo zioła, które leczą biednych wieśniaków.

Major nic nie odpowiedział, ale pracował w milczeniu i czekał cierpliwie rychło jego uczeń, równie się weźmie do pracy. — Nie zawiódł się w oczekiwaniu, Kamil słabą ręką wziął motykę i ile mu sił starczyło, skopywał ziemię.

Łatwo wyobrażą sobie czytelnicy zajęcie Kamila, z jakim wrzucał w ziemię nasiona, jak codzień biegał patrzeć czyli nie wschodzą, jak cieszył się, gdy ujrzał małe listeczki, jak był zadowolony, gdy pierwszy zerwał kwiatek. — Nie dosyć jeszcze tych przyjemności! — Suszenie kwiatów i ziół, pakowanie ich w papierowe torebki, następnie, wydzielenie ich stosownie do przepisów majora, u-

tworzyło dla niego tak przyjemne zatrudnienie, że Kamil nigdy nie pomyślał o cackach i zabawkach, których tak namiętnie inne pragną dzieci, a które niewinnie usposabiają je do zamięłowania zabaw, ozdób, blasku i próżności.

W zamięłowaniu niewinnego a przyjemnego zatrudnienia, major wiele widział korzyści i mówił: dobrze, że Kamil nauczy się pracować w ziemi, bo wcześniej będzie wiedział, co chleb kosztuje potu, dla jego zdrowia jest pomocne, bo wzmacnia siły i zdrowem oddycha powietrzem, prócz tego, zatrudnieniem swoim równa się z pracującą klasą i uważa ich za swoich braci, a nie jak dzieci Kajetana, przeznaczonych, aby dla nich i na nich pracowali. — W pracy swojej, oprócz zadowolenia, jakiego doznajemy, gdy czas użytecznie spędzimy, ma tę wielką przyjemność że niesie pomoc bliźnim.

Major, jako żołnierz wiele ceniący siłę i zręczność i temi chciał zbogacić swo-

jego wychowanka.— W jego przekonaniu, człowiek silny, nie może być nikczemnym, i dla tego, jak mówił, poważamy walecznych, że przy mężstwie zawsze spodziewamy się innej napotkać cnoty. Waleczny jest zarazem wspaniałym i ludzkim; słaby jest zwykle tchórzem, niepewnym siebie, trwożliwym, w nieszczęściu upokorzającym się, w powodzeniu zaś dumnym, okrutnym i zawsze pamiętającym o sobie samolubem.— Ja chcę, powtarzał major, aby mój Kamil był człowiekiem, to jest żeby miał cnoty człowieka i serce człowiecze.

Dla tego major, nie zaniechał kształcenia siły i zręczności dziecięcia.— Łowy, konna jazda, pływanie, ślizganie się, włożenie na drzewa i wyniosłe miejsca, nietylko nie były wzbronione młodemu siostrzeńcowi, ale owszem zachęcane przykładem.

— Nie wiemy, mawiał major, jakie jest nasze przeznaczenie i Bóg wie, jakie przygody wiszą nad naszymi głowami.—

Kiedy człowiek pewny siebie, nie traci głowy, kiedy wie co począć, to sam sobie poradzi i sam sobie wystarczy — (zasadą wychowania majora było, aby samemu sobie o ile można wystarczać i aby jak najmniej mieć potrzeb).

Dla dania przykładu, sam major podzielał te wszystkie zabawy dziecięcia i śmiesznie było patrzeć, jak sam, osiwiały gonił się z nim, razem wychodził na slizgawkę, razem z nim pływał i o przepływanie rzeki zakładał się, jak pędził z nim na koniu i sadił przez rowy i płoty.

W tem podzielanu zabaw, oprócz wykształcenia siły i zręczności, major tę jeszcze widział korzyść, że chciał dla lepszego osiągnięcia skutku swojej pracy zniżyć się do pojęcia dziecięcy, do zrównania się z nim niejako, bo mówił, że owe bardzo poważne nauki, na nic się nie przydadzą, i trudno, aby siedmioletnie dziecię wznosiło się do mojego pojęcia. — Jeśli pragnę nauczyć je czego-

kolwiek, ja się muszę do niego zniżyć.

Widać dobrze pojął major tę stronę wychowania, bo pozyskał zupełną miłość dziecięcia, zaufanie i pojęcie siebie całkowite. — Kamil chętniej przestawał z swoim wujaszkiem, niżeli ze swoimi rówiennikami, nigdy nie zataił przed nim swojej myśli; czegokolwiek pragnął, prosił o to i jeżeli było możliwem, natychmiast otrzymywał. — Major miał swoją zasadę w tym względzie i mawiał, że ktokolwiek może co uczynić, czynić powinien zaraz po pierwszém objawieniu żądania, jeżeli nie może, lub nie chce, powinien być niewzruszonym. — To cechuje charakter, a w postępowaniu z dziećmi, jest konieczném.

Tak major prowadził swojego siostrzeńca, aż do lat trzynastu życia, pracując zarazem nad rozwinięciem umysłu i ukształceniem serca. — W tej epoce widział, że sam dalszym nie po-

doła naukom i oddał go do szkół publicznych.

Bolesném było dla majora rozdzielenie się z ukochanem dziecięciem, uległ przecież konieczności i tylko to miał na uwadze, aby zapewnić sobie, że jego dzieło wyrodzoném nie będzie.

Często odwiedzając Kamila, bacznie na niego zwracał oko, bo jak mówił, czas dojrzewania jest najniebezpieczniejszy i jeden błąd, albo spuszczenie z oka, może zniweczyć wieloletnie prace.

Umieściwszy go w przyzwoitym miejscu, prosił, aby mu nigdy nie usługiwano, aby sam zaspakajał swoje potrzeby, mianowiciej zaś, aby do usług, nie były używane kobiety. (b) Następnie, zalecił, aby jego wychowaniec

(b) W jednej z drukowanych rozpraw D-ra Rosenblum, bardzo słusznie jest na to zwrócona uwaga, jak niemniej na wiele innych przedmiotów, które zasługują na bliższe zastanowienie się w wychowaniu, a które dla

wstrzymywał się od czytania dzieł imaginacyi, które wprowadzając w świat urojeń i rozdrażniając nerwy, zawczasie odrywają od rzeczywistości.

— „Na pojęcie piękności literatury i sztuk, jeszcze nie pora. — Dzisiaj nie czuje ich potrzeby i cenić nie będzie umiał. — Dzisiaj przyniosą one więcej szkody niż korzyści, a tego sobie wcale nie życzę.

Przekonany o potrzebie nauk, z całym zajęciem i przywykniem do pracy, poświęcał się im młody Kamil; postępy jego zadawały nauczycieli i radowały opiekuna.

Z chlubą i zaletą skończył, jakieśy powiedział, nauki.

uniknienia nie stosowności w zakresie opowiadania, pominąć musimy, odsyłając czytelników ciekawych do wyżej wspomnianego autora.

(P. A.)

Wróćmy do marzącego majora i do czyszczącego strzelbę młodzieńca.

Major dumał trzymając dużą książkę, w której czytał przed chwilą, nagle, jak ockniony, powstał, przeszedł po parę razy i stanąwszy przed Kamilem, rzekł:

— Widzę, jak dobry myśliwy, umiesz korzystać z czasu i pamiętasz, że to ponowa: Szkoda, szkoda mój drogi, nie będę ci towarzyszył jak to zwyczajnie bywało, bo czuję się niebardzo zdrowym, a chociaż mówią, że ruch pomaga, na ten raz, zaniedbam téj recepty.

— Jak twoja wola, mój wuju, odrzekł Kamil spokojnie; sądzę jednak, że mnie pozwolisz użyć przyjemności łowów, której dawno nie kosztowałem.

— Najchętniej, najchętniej. — Tylko się nie baw długo, bo wiesz, że mi jakos przykro jest bez ciebie.

Młodzieniec ucałował pomarszczoną rękę wujaszka i strzelbę postawiwszy w ką-

cie, poszedł po torbę, którą w proch, szrut i przybitki miał zaopatrzyć.

W téj chwili, weszedł drugi jego wujaszek pan Kajetan, brat pana Kaspra, majora.

— Dzień dobry bracie? jakże się miewasz? rzecze wchodzący.

— Nie szczególnie, nie szczególnie, odrzekł major, a młodzieniec zbliżył się do wujaszka, aby jego ucałować rękę.

— Siadaj, siadaj, mój bracie, rzecze brat Kasper, przysuwając do kominka stołek. Jakoś mi smutno wyglądasz braciszku, zapewne te domowe kłopoty dokuczają ci do żywego?...

— Tak, tak mój bracie, wszak jestem ojcem licznej rodziny.

— A wieluż to ojców na świecie? zagadnął major siadającego braciszka. — W potomstwie, Bóg kazał widzieć swoje błogosławieństwo, my zaś upatrujemy w niém nieszczęście. — Zapewne w tym względzie, jak w wielu innych samym sobie przypisać winę należy.

— Zwyczajne twoje, mój bracie kaza-
nie, odrzekł poprawiając się na stolku
pan Kajetan.

— Zgadza się, że zwyczajne, ale sam
przyznasz panie Kajetanie, że zawsze
prawdziwe.

— Tak, tak mój drogi.

— Powtarzam ci, sami winni wszyst-
kiemu jesteśmy. — Robimy niedorzecz-
ne projekta, niepodobne do wykonania
a później sami siebie dręczymy, że speł-
zły na niczém.

— Co w tém, to nie zawsze nasza wi-
na, pozwolisz.

— Nie ze wszystkim, o tyle ile o-
koliczności od nas nie zawisły.

Lecz rozsądny człowiek stawia się
zawsze w tém położeniu, aby nie oko-
liczności nim, ale on rządził okoliczno-
ściami.

— To niepodobna — z żywością od-
rzekł pan Kajetan. — Jakim sposo-
bem, na przykład ja, będę kierował nie-
zawisłemi odemnie okolicznościami, gdy

ze wzrastającą rodziną, codzien nowe się rodzą potrzeby?

— Pozwól sobie powiedzieć, panie Ka-
jetanie, że potrzeby są naszym własnym
utworem i im ich więcej tworzymy, tem
stajemy się nieszczęśliwsi, bo zawi-
ślemy od najmniejszych drobiazgów, któ-
rym dogadzając, wysilamy się, nie mo-
gąc zaś dogodzić, dręczemy, cierpie-
my ciężko i w szaleństwie naszych nie-
niedorzecznych pragnień, często gu-
biemy.

— Ale jeżeli te potrzeby wynikły z ko-
niecności?

— Z konieczności, mówisz mój bracie?
przyznam się, nie zewszystkiem cię ro-
zumiem.

— Pozwól więc, wytłómaczę ci ja-
śniej.

Naprzykład, obywatel tak zamożny
jak ja, urodzony i wychowany jak ja,
mający obszerne włości i przyzwyczajony
do życia dobrego; jakże może od-
mówić sobie pojazdu, komi, służących, li-

beryi, pięknych sprzętów i tylolicznych cacek, które dzisiaj tak obficie wyrabiają, a które prawie są koniecznością?... Na honor, ludzie palcami-by go wytykali, nazywali dzikim i nieokrzesanym, kutwą, człowiekiem bez smaku i wychowania. — Niepodobna także, mój bracie, abym żonie, kobiecie tak delikatnej, tak dobrze wychowanej, tak przyzwyczajonej do dobrego życia, odmawiał zabaw, poratowania zdrowia u wód i t. p. Jak żyję sam, tak muszę wychowywać i dzieci; niepodobna, aby nie mieli pięknych sukien, usługi i rozmaitych wygod; przecież to moje dzieci i coś lepszego jak inne.

— Dla czego coś lepszego? zagadnął major; przyznam ci się, mój bracie, że ja człowiek przywykły patrzeć na zmiany losu, nie rozumiem co to ma znaczyć człowiek, lepszy jeden nad drugiego? — W mojem przekonaniu, wszyscy są dziećmi jednego ojca, Boga, wszyscy otrzymali w podziale te same potrzeby, te

same usposobienia i skłonności, te same środki zaspokojenia potrzeb. — Prawda, majątek, urodzenie, położenie towarzyskie, przed wszystkim majątek na tysiączne rozdziela ich klasy, czyni niepodobnymi jednych do drugich, jednych wynosi na półbogów, drugich strąca na niewolników. — Pomyślność, pieniądz, władza, przebiegłość, złość i zbrodnie, naruszają częstokroć ów porządek i przeznaczenie przez samego zakreślone Boga; ale jedna chwila, jeden wypadek, jedna niepomyślność, dostatecznymi są, aby ów bogacz, ziemski bożek zstąpił ze szczytu swojej wielkości, poznał co to potrzeba, co niedostatek, i dolegliwości, co upadek i upokorzenie; żeby poznał, że jest człowiekiem jak inni, aby uczuł ile złego dawniej wyrządzał, aby przekonał się, że wszyscy są jego braćmi. — Mówisz, że ty i twoje dzieci, nie możecie żyć inaczej jak żyjecie; ale raczże mi odpowiedzieć na to pytanie: Co poczujesz, gdy nie będziesz miał na to, abyś

wygody i swietność utrzymał zawsze jak teraz?

— Przecież mam majątek, przecież Czarny-bór...

— Piękna majątność, to pewna, czy ni dochód i może czynić większy; ale zważaj, że żyjesz nad stan swój, bo więcej jak dochody Czarnego-boru spożywasz, bo zaciągasz długi, bo codziennie masz mniej, i codziennie bardziej uszczuplasz twojego dochodu.

Twoje dochody, potrzeby i wydatki są w stosunku odwrotnym; codziennie powiększają się twoje i twojej rodziny potrzeby, a codziennie majątku uszczupla. — Zważ tylko, jaki ztąd wyniknie koniec?

Bodajbym był fałszywym prorokiem, ale nic dobrego spodziewać się nie mogę.

Pan Kajetan marszczył brwi, ale na tak jasne jak pana Kaspra rozumowanie nic nie śmiał odpowiedzieć. — Major mówił dalej:

— Dopiero w potrzebie, człowiek u-
 czuwa że jest człowiekiem; boleści i
 cierpienia przypominają mu, aby czuł
 i pamiętał o cierpieniach bliźnich.

Nikt, jak to mówią, nie opasał szczę-
 ścia łańcuchem; najbogatszy, najmożniej-
 szy, najswobodniejszy dziś człowiek,
 zaręczyć nie może, czy jutro będzie
 miał gdzie głowę położyć, czy jutro nie
 dozna głodu i pragnienia, czy jutro nie
 powali go choroba, czy jutro wieczne nie
 dotknie kalectwo; dla tego, człowiek roz-
 sądny i sam tak żyć powinien i dzieci
 tak wychowywać, aby umiał znieść nie-
 dostatek i dolegliwości, aby umiał ra-
 dzić sobie w potrzebie i nie upadł na
 duchu i na ciele. — Powiadasz, że dzieci
 dobrze wychowałeś, mój bracie — praw-
 da, zgadzam się na to, jeżeli będę zwa-
 żał jak się kłaniają, jakie mają ułożenie,
 jak wymawiają po francuzku i jak tań-
 cują — prawda, wszystko to prześli-
 czne, miłe dla oka, powabne i przyjemne,

ale przy dostatkach, przy pomyślności i przy dochodach z Czarnego-boru.

Ale przypuśćmy, że dzieci twoje, jak wielu ludzi na świecie, nie mają żadnego majątku, ciekawym czem zapracują na kawałek chleba i jak sobie radzić będą w potrzebie?

— Ja też o tém nigdy nie myślałem, odpowiedział pan Kajetan.

— Otóż co najgorzej uczyniłeś, mój bracie. — Boże daj, aby te same dzieci na które chuchałeś, które chciałeś czemś wyższem jak ludźmi uczynić, kiedyś nie zapłakały na ciebie, żeś je nauczył zbytku, przyzwyczał do wygod i świetności, a nie nauczył pracować, albo wielkiego nie zostawił majątku.

Błąd, twój bracie jest prawie powszechnym u nas. — Ojciec mający sześć tysięcy dochodu, a sześcioro dzieci, każde przyzwyczajają tak żyć, jakby całkowity dochód miał przypaść na każde z nich, a przecież, jeżeli dzieci mają dostać spadek, co Boże daj! aby się nie uronił,

każde z nich mieć może tysiąc złotych dochodu a nie sześć. — Prawda, rodzice często liczą na dzieci, mówią, że dając im wychowanie, a wychowanie kosztowne i bezużyteczne, torują im przyszłość i zapewniają pomoc dla młodych dzieci. — Piękne to są myśli, mój bracie, ale rzadko aby się na co przydały. — Zazwyczaj bywa, że ojciec mający kilkoro dzieci a żyjący nad stan swój, marzy dla nich najświetniejszą przyszłość, temu rokuje stopnie, dochody i znaczenie; temu przepowiada gospodarstwo po sobie; temu obiera stan; jedną córkę ubiera w cudowne kształty ciała i rokuje bogatego męża; tamtej udziela wielkie zdolności, któremi się ma bogacić i ludzi sam siebie, a nawet dzieci szalonemi marami, które im dzieci starsze, coraz bardziej blednieją i kiedy dorosną, biedny ojciec, obliczywszy się ze swojemi dochodami i z usposobieniem dzieci, które do niczego niezdolne, zadaje sobie to smutne pytanie: co z dzie-

ćmi począc? — Z owych świetnych marzeń, pozostają kłopoty i kończy się, że nierozsądny ojciec ulega potrzebie, o którejj pierwój nie chciał pomyśleć. — Zazwyczaj, najstarszy syn, mający podług myśli ojca, wznosić upadłą rodzinę, przeznaczony bywa na urzędnika, bo inny stan nie przypada do smaku. — Odwożę więc panicza przyuczonego do zbytku w życiu, a teraz mającego swoje potrzeby nad zamiary ojca, do miasta; obok zawodu, polecają mu, aby zabierał znajomości, stosónki, aby się modnie ubierał, aby się kochał, udawał pana i dostarczają funduszów na to, często z uszczerbkiem innych dzieci; wszystko to zaś w nadziejach, że synek śpiesznie będzie się posuwał i wszystko powróci ze stokrotnym procentem. — Ale jak pierwsze, tak i te marzenia, nie ziszczają się wcale. — Pracujących piórem jak mrowia, wielu i zdolnych i procowitych; tamci pracują, panicz się bawi, biuro go nudzi, kobiety nęcą, przyjaciele przyzy-

wają. — Czas upływa swobodnie i niepostrzeżony, dopiero kiedy się wyczerpną fundusze, kiedy rodzice więcej dawać już nie mogą; panicz robi długi i znowu żyje czas jakiś dobrze. — Ale i kredyt prędko się wyczerpuje, nadzieje i w pozyskaniu miejsca zawodzą, zdrowie nadwreżone potrzebuje ratunku; wtedy panicz postrzega, że w mieście napróżno najpiękniejszy wiek, siły i czas zmaornwał, że niczego spodziewać się nie może i myśli jakiegoby użyć pozorów, aby na wieś powrócić, zacząć gospodarować, i dobrze się ożenić.

Wraca więc — ale jaki!... strawiony duchowo i cieleśnie, przywykły do bezczynności, do zbytku, do zabaw, a nie do pracy. — Jakże chcesz, mój bracie, aby gospodarstwo było kwitnącém, u takiego człowieka? Jeżeli taki człowiek pozostaje w mieście, chwyta się najgorszych środków zaspokojenia swoich potrzeb i kończy, albo w suchotach z rozpusty i nędzy, albo w więzieniu za

zbrodnie przeciw ludzkości, albo sobie życie odbiera, albo; co może najszczęśliwiej się uda, żeni się, nie dla serca, nie dla dopełnienia praw natury i Boga, ale dla bytu i chleba.

— Zanadto okropny przedstawiasz obraz, mój bracie, przerwał pan Kajetan powstając.

— Prawda, że okropny, przyznaję, ale zanadto prawdziwy. — Spojrz w około siebie, policz upadłych twoich znajomych i sąsiadów, przebież historią ich synów i córek, a przekonasz się, czy cokolwiek przesadzam. — Przecież we wszystkim musi być przyczyna, a w tem, ja jedną tylko widzę, złe wychowanie i gorsze jeszcze skierowanie młodzieży. — Ja, mój bracie, rozumiem przez wychowanie, usposobienie człowieka do życia, do zniesienia trudów i dolegliwości nieoddzielnych od przeznaczenia człowieka.

To mając na uwadze, pamiętałem wiecznie o tem, aby mój Kamil widział wartość człowieka, w nim samym, aby

wszystkich ludzi uważał za swoich braci, aby czuł ich cierpienia i niedolę, aby swoją umiejąc znosić, czuł drugich i szedł im w pomoc. — Jak wypełniłem moje myśli, sam się przekonaj. — Jakkolwiek młody, czujący żywo, pojmujący rzeczy szybko, nie bawi się urojeniami. — Ma wytknięty cel życia i idzie do niego spokojnie, nie zraża się trudnościami, nie pada pod niemi, pokonywa je bez dumy i zarozumienia. — Przygotowany na niepowodzenia, szuka tylko w sobie środków przetrwania ich, usunięcia ze swojej drogi i za każdym razem, gdy mu się uda mniej ich srogość uczuwać, jest weselszy, swobodniejszy. — Patrząc na świat, na jego świetność i blask, nigdy mu ich nie zazdrości, nie raz mówi mi, że niepojawia na co się one przydadzą. — Prosty wpływ, że czego nie znamy, nie pragniemy. — W porządku towarzyskim, chociaż go może niezupełnie pojmuję, widzi użytecznych członków i ciężących innym, jak kamień młyński na głowie,

uwielbia jednych, przebacza drugim. — W ludziach, więcej widzi nierozsądku, niż złości i wczoraj właśnie mi mówił: złe, jakie jest na świecie, głównie pochodzi ztąd, że ludzie nierozumieją swego dobra — gryząc się nawzajem, niszczą siebie i zamiast w wspólnym postępować interesie, jedni drugim stawiają zawady. — W istocie, jego zdanie bardzo mi się podobało — widać z tego, że myśli i dobre ma serce.

— Oh! ja bardzo cenię Kamila, odezwał się pan Kajetan, prawdę mówiąc, zazdroszczę ci z niego pociechy.

— W twojej mocy było mieć równą, a może większą.

— Bóg mi jój nie dozwolił. — Z jego łaski wyrosły mi dzieci i głowa mi usycha co z nimi robić. — Chłopcy, jak chłopcy, i z nimi bieda; ale dziewczęta jedna drugą goni, rosną jakby na drożdżach i gotuj tylko posagi, bo tak, to nikt się o nie nie spyta.

— I bardzo słusznie.

- Dla czego?
- Bo wiele potrzebują.
- Piękne, dobrze ułożone.
- To nie da chleba.
- Dobrze wychowane.
- To jest, nauczone mieć powozy, sługi, konie i zbytki.
- Ale bo ty wszystko zbytkiem nazywasz.
- Tak, wszystko, bez czego człowiek obejść się może.
- Ale mimo tego, mogą znaleźć dostatnich mężów.
- Bydź może, ale to los na loteryą.
- Tyle dziewcząt ubogich wychodzi za panów.
- Szczęśliwe, jeśli pieniądz uszczęśliwia.
- Ale jeżeli, mój bracie, podobają się, zachwycają talentami..
- Mogą mieć liczne romanse.
- I za mąż iść.
- Prędzej nie iść, jak iść. — Ubogi

wziąć ich, nie ześmie, a może i nie zechce, wreszcie, one same patrzą na niego nie chciały, ty pewnie byś ich nie wydał. — Ci zaś, którzy mają majątki, pragną albo posagami żon oczyścić je, albo powiększyć, albo najczęściej złudzić, bogatą pannę pozorem.

— Jakże wszystko w czarnych widzisz kolorach!

— W prawdziwych, mój bracie.

— Synowie moi mogą porobić karyery. — Hilek pisał mi niedawno prosząc o pieniądze, że ma nadzieję pozyskania posady. — Młodszy Walery, jaka mi głowa otwarta, ładny chłopiec, może także znaleźć korzystne miejsce, albo w końcu, bogato się ożenić.

— Obadwa mogą bogato się ożenić, zgadzam się, ale to cokolwiek trudności wynalezienia tych bogatych panien, jeżeli inni ojcowie i ich dzieci myślą jak ty. — Wszak twoje córki marzą tylko o bogatych mężach?

— Ależ mój bracie. — No, zasta-

nów się, powiedz mi cóż robić z dziećmi?

— Przyzwyczajając je do pracy, oszczędności, umiarkowania i innych cnót które zapewniają szczęście.

— Zanadto ogółowa nauka.

— Innej dać nie umiem.

— Ale zważ położenie dzisiejsze: ludzi wszędzie za wiele, młody człowiek podzić się gdzie nie ma.

— Dosyć u nas pól nieuprawnych — wełna płaci, zboże, chociażby i tanio sprzedaje się, wreszcie, nikt z głodu nie umarł, kto w roli pracuje.

— Ależ nie każdy człowiek stworzony do pracy w ziemi.

— Ale każdy do pracy. — W porządku towarzyskim, każda ręka jest kapitałem, każda powinna przynosić korzyść. — Bogactwo kraju, nie zasadza się na wielości pieniędzy, bo przy nich z głodu mogą umierać, ale na produktach do życia.

Im ich więcej kraj jaki posiada, tém

— jest bogatszy; nad nasz zaś, podobno nie ma lepszego, bo mamy wszystko, co do życia potrzebne.

Trzeba tylko więcej rąk, trzeba lepszego skierowania się i mniej zbytku.

— Ja nie wiem; ale wszędzie narzekają na wielość ludzi.

— Zdaje mi się, mojemu bracie, że ty przynajmniej nie narzekasz. — Ilekroć słyszałem, zawsze nie masz ludzi dosyć do żniwa, nigdy nie masz za wiele pługów, nigdy w czasie nie sprzątniesz siana, nie wykopiesz ziemniaków. — Co większa powiem: tyle razy żaliłeś się, że nie masz dobrego ekonomy, pisarza, karbowego, i t. d.

— Zapewne, z tego nawet powodu, nie możemy podnieść gospodarstwa.

— Więc jesteś przekonany, że ludzi nie ma za wiele. — I owszem, mało ich jest do pracy, a wiele do trawienia. — W tym jest całe złe, w tym ciężar kraju, w tym wzajemne nieszczęście ludzkości. — Bo zważaj tylko, mój

bracie, dam ci przykład na małej rodzinie, złożonej z pięciu członków. — Jeżeli w tej rodzinie pracuje ojciec, syn córka, żona i każdy wnosi owoc swojej pracy, niezawodnie nikt nikomu nie jest ciężarem, wszyscy żyją zgodni i swobodnie. — Lecz gdyby w tej samej rodzinie pracował tylko ojciec, a trawiły dzieci i żona, biedak niezawodnie byłby przeciążonym, a nawet doznał i niedostatku. — Toż samo jest w towarzystwie, im więcej nieczynnych, tym więcej nieszczęścia. — Martwy kapitał, jak ich nazywa Say, w swojej Ekonomii politycznej, wszyscy którzy żyją z pracy rąk cudzych, a sami w niczem się nie przykładają do produkcyi, o tyle być znoszonym powinien, o ile jest koniecznym. Zwiększająca się liczba owych martwych kapitałów, spowodowuje ubytek rąk do roli, a w krajach osobliwie rolniczych, nędzę gotuje. — Bo trudnoż mój bracie, aby cały kraj złożony był z urzędników, duchowieństwa, wojska, albo też arty-

stów? Potrzebni oni są zaiste, a tém potrzebniejsi im bardziej psuje się towarzystwo. Nie dosyć, mój kochany bracie, któż u nas poświęca się rolnictwu? człowiek który w niczém innym nie znajduje powodzenia. — Człowiek znudzony światem, strawiony życiem, często nie mający dosyć sił, przyzwyczajony do życia zbytkowego, zepsuty w miastach, albo też schorzały i na wsi pragnący zdrowie odzyskać. — Ten najpiękniejszy wiek strawił w wojsku, zna karabin, lub pałasz, dawniej lekceważył wieśniaka-rolnika, pogardzał pracowitym stanem i z potrzeby wziął się do niego, ale nie dla tego, żeby pracował; ale żeby odpoczął, żeby pracowano na niego. — Tamten całe życie pracował piórem i na późne lata przyszło mu gospodarstwo do głowy, chciałby odpocząć, liczyć wielkie dochody, ale nie ma sił i nie chce pracować, jak wymaga rola i rolne gospodarstwo — ów młody jegomość, który spieczył się w mieście, aby jak najprędzej

przetrawić życie i stracić fundusze, jakimi go rodzicielski obdarzył majątek; z kilkunastu tysiącami, bierze dużą dzierżawę, przyjmuje ekonomów, sam jeździ, bawi się, grywa w karty, albo stara o bogatą pannę, za którą wzięte znowu kilkanaście tysięcy, zdołałoby przedłużyć jego konanie moralne.— Ożeniony z osobą młodą, czasem piękną i utalentowaną, chce żyć jak żył w miastach, paparadować, dawać wieczory, ubierać siebie i żonę, mieć ekwipaże, modny fortepian i meble, rezydentów i rezydentki, udawać pana, mierzyć się z zamożnymi obywatelami, zgoła żyć nad stan, nic nie robić, spać do południa, potem czytać romanse, a wieczorem grać z sąsiadami w wista, albo wesoło z panienkami walcować.— Cóż dziwnego że podobni gospodarze, podtrzymywani przez jakiś czas przez żydków, chwieją się i chwieją, nikną powoli i w końcu, niszczejają.— To rzecz do przewidzenia, tak być musiało, a nie inaczej

— Tak, masz słuszość, mój bracie odrzekł zamysłony pan Kajetan, teraz widzę, że jeden błąd prowadzi w drugi i...

— A przecież nie masz siły odmienić życia.

— Przyznam ci się, że szczerze pragnę.

— Chciałbym ci wierzyć i wierzę nawet; ale nie zawsze ludzie robią co chcą. — Oh! ja jestem przekonany, że wszystko można uczynić; ale potrzeba woli żelaznej i niezłomnej, lecz na nieszczęście, tej ludziom brakuje. Dzisiejszy wiek tak bogaty jest w słowa, że wszędzie możesz posłyszeć moralne zdania, piękne maxymy, zdrowe rozumowania, a prawie nigdzie rozsądnego postępowania.

— Mój bracie, mnie głowa usycha z kłopotu, sam nie wiem co począć i jeżeli twoja rada...

— Moja rada nic ci nie pomoże, bo jest przykrą i zupełnie się tobie nie podobą — tak zaś radzić jak ty pojmujesz,

nie umiem i nie mogę, bo nie jestem bogaty. — Tobie byłoby najlepszą radą, żeby ci dano ze sto tysięcy.

— Ah! szczerze ich potrzebuję — odżyłbym i moje dzieci zarazem.

— Rozumiem cię, rozumiem. — Wiem nawet, jakbyś użył owych pieniędzy. — Ale o czém tu marzyć? Szukajmy przyczyny złego i znalazłszy ją, usuńmy. — Uważasz tedy, panie Kajetanie, jak powiedziałem, mamy ludzi za wiele i za mało, to jest: mamy wiele trawiących, a pracujących niedostatek. — Kraj nasz jest krajem rolniczym, całe jego bogactwo leży w ziemi i chcąc je wydobyć, dosyć uprawiać rolę, dosyć przerabiać, surowe produkta. — Na nieszczęście, pojąc tego nie chcemy, kogokolwiek nauczone czytać i pisać, opuszcza rodziną strzechę, ucieka do miast i tam jakimkolwiek sposobem żyć pragnie, byle w roli nie pracował. — Ztąd w miastach tak wiele ludzi nie mających żadnego zatrudnienia, nie umiejących wziąć się

do niczego, zapracować na kawałek chleba. — Każdy pragnie być urzędnikiem, duchownym, artystą, albo autorem, wreszcie — nikt nie obmierzy sił swoich, nikt nie pomyśli nad ważnością powołania, w które się rzuca, ale każdy myśli, aby w niem znalazł powodzenie i dostatek. Bez potrzebnych zasobów, bez wiadomości dróg, któremi chodzić należy, błądzi młody męczennik fałszywych wyobrażeń, rzuca się w tę i ową stronę i kończy często okropnie. — Nie dziwny się dla tego, że prawdziwe talenta, otoczone mgłą mierności, która zazwyczaj najśmielsza, wypłynąć na wierzch nie mogą, że cierpią niezasłużenie za profanów sztuki i że często spodziewanych nie przynoszą korzyści. — Wina złego jest w wychowaniu moralném i dopóki to usunionem nie będzie, nic dobrego spodziewać się nie mamy.

— Mój bracie, ale jeżeli dzieci nasze nigdy nie westchną za niczem, jeżeli

zrodzone na grzędzie, na niej pomrą, jakież dalsze przeznaczenie?

— Alboż ja młodym ludziom wytykam ich przeznaczenie, albo powiadam, że tym, albo owym być mają, ja chcę tylko aby byli ludźmi, aby poznali potrzeby życia i towarzystwa i pojęli swoje położenie.— To, o co mię obwiniasz, właśnie twoją jest myślą.— Od kolebki przeznaczacie dzieci do jakiego stanu, napawacie ich myślą świetności i szczęścia, których w nim później nie znajdują i dziwicie się potem, że zawiedzeni, złudzeni przez was, zamiast wdzięczności, często was obarczają wyrzutami.

Wejście lokaja pana Kajetana Bułatowicza, przerwało mowę majora i całą uwagę zwróciło jego brata.

— A co tam? rzecze do przybywającego.

— Panie, rzecze lokaj, z poczty przyniesiono jakiś list bardzo pilny, żeby zaś pani nie zmartwić, bo może jaka

niepomysłna wiadomość; nie pozwoliłem wejść posłańcowi i tylko zaraz pobiegłem pana poszukać.

— List, mówisz? gdzie on jest?

— Czy zawołać posłańca? zapytał lokaj.

— Jak najspieszniej, bardzo jestem niecierpliwy.

Lokaj zwrócił się i wyszedł, a pan Bułatowicz mówił do brata:

-- Bardzom ciekawy owego listu; pocztą i bardzo pilno. Kto wie, czy czasem nie od Hilka? Na honor, ten chłopiec kłopotać mię zaczyna, od dnia do dnia go zwodzą, przyrzekają miejsce, a ja muszę zaopatrywać jego potrzeby, które jak uważam codzien się powiększają.

Wszedł pocztowy posłaniec, podał list panu Bułatowiczowi, który nim go odpieczętował, polecił zapłacić należytość i poczęstować wódką.

— Zupełnie mi pismo nieznanne, mówił pan Kajetan Bułatowicz oglądając

odebrany list, i przypatrując się pieczę-
 ce — herb jednak naszej familii i korre-
 spondencya z Warszawy. — Zupełnie te-
 go pojąć nie mogę. — Bydź może, że
 kto z naszej familii, potrzebny i rozu-
 miejący, że ja mam znaczne dobra... ale
 przecież trzeba przeczytać.

To mówiąc, pan Bułatowicz odłamał
 pieczętkę, szybko oczyma przebiegł pi-
 smo i zrywając ze stolka na którym sie-
 dział, zawołał:

— Mój Hilek chory! mój Hilek nie-
 bezpieczny, mój Hilek może już nie żyje!

— Cóż tam takiego, mój bracie? za-
 gadnął major spoglądając z trwogą na
 brata.

— Powiadam ci, mój Hilek chory, i
 widać niebezpieczny, bo sam nie pisze,

— Bądź łaskaw list mi pokazać, mój
 bracie; być może, że twoja rodzicielska
 miłość przesadza i z małej rzeczy, wiel-
 ką tworzy.

— Patrz, patrz, przeczytaj, przekonaj

się. — Ah! ja nieszczęśliwy, cóż po-
-znan?

Major odebrany list z rak pana Ka-
-jetana odczytał w milczeniu, i rzekł z wi-
-doczną troskliwością:

— Biedny, biedny Hilary. — Jaka
-szkoda, że nie pisze jego przyjaciel,
-na jaką zapadł chorobę. Moj bracie, na
-co przedwczesne rozpaczę? Młody wiele
-wytrzymać może i o życie Hilka lękać
-się nie ma potrzeby; raczej, mój bracie
-pomyśl, że wczesną pomoc dać mu po-
-trzeba, a wiesz, co się nazywa w mieście
-pomocą. — Oto, jak najspieszniej poselaj
-mu co możesz, lepiejby jednak było, mój
-bracie, aby ktoś z rodziny pojechał, bo
-choroba wymaga troskliwości, a tę tylko
-ojciec, lub matka dać może.

— Tak, tak, masz słusność mój bra-
-cie — ja sam powinienem jechać natych-
-miast, ale zważaj na moje położenie. — Na
-drogę potrzebuje pieniędzy, w Warszawie
-liczne czekają mię, a nieprzewidziane wy-
-padki. Pieniądzy! przez Boga! pieniądzy!

— Na to rady dać ci nie mogę. — Ty wiele potrzebujesz, a ja mało posiadam. — Jednakże, moj bracie, ja zawsze się tak rządę, abym w chwili wypadku mógł się uciec do mojej szkatułki. — Mało mam prawda, ale to co mam, miło mi dla ciebie, dla twoich dzieci poświęcić. — Tysiąc złotych, które chowałem dla Kamila, aby mógł na Uniwersytet wyjechać, oddaje na twoje rozkazy.

— Drogi poczciwy bracie, mówił pan Kajetan ściskając majora — prawdziwym jesteś mi dobrodziejem; każdy grosz za sto mi stanie, natychmiast każę gotować do drogi, ale zmiłuj się nic nie mów przed moją żoną, bo biedaczka chybaby umarła z niespokojności. — Muszę zmyśleć jaki inny wypadek, bo nie chcę trwoigi zostawić po sobie.

Major dobywszy ze szkatułki, stojącej pod łóżkiem, niewielką paczkę biletów bankowych, oddał ją bratu, mówiąc:

— Spiesz się, spiesz mój drogi. W ta-

kich wypadkach, każda chwila jest drogą, i żadnej nie ma do stracenia. — Jeżeli twój Hilek odzyska zdrowie, przywieź go na wieś, ja o nim pomyślę, a może da się z nim zrobić co lepszego, niż owe wasze świetne, a płonne nadzieje, które tylko dręczą biedaka.

W kilka godzin, pan Kajetan Bułatowicz, był gotów do drogi i w pośród pożegnań rodzinny i licznych zleceń sprawunkowych, opuścił dom rodziny, który go nie mało w życiu nabawiał kłopotów.



kien wybuchł, każda chwila jest dro-
 gą, żadnej nie ma do stracenia — Je-
 żeli twój Hilek odzyska zdrowie, przy-
 wiez go na wieś, ja o nim pomyślę, a
 może da się z nim zrobić coś lepszego,
 niż owe wawe święte, a planne nadzie-
 je które tylko dają biedaka.

W kilka godzin, pan Łajetan Błato-
 wiec był gotów do drogi i w porządku po-
 wozem rozbitym i niezbyt złączym spr-
 awkowniczym; opuścił dom rozbity, któ-
 ry go nie było w życiu nabawiać klo-
 potem.



ROZDZIAŁ III.

**STAN ZDROWIA PANA HILAREGO, SMUTNA
WIADOMOŚĆ, PRZYBYCIE OJCA, POSTANO-
WIENIE.**

— Narcyzie! Narcyzie! moj drogi, zdaje mi się, że byłoby mi lepiej powstać z łóżka, — mówił pan Hilary osłabionym i stłumionym głosem do swego przyjaciela — poety, której w tej chwili zajęty był przygrzewaniem rosolu dla chorego.

— Co żądasz, mój drogi? zapytał pan Narcyz zbliżając się do cierpiącego.

— Chciałbym się podnieść, odrzekł chory, bo już sprzykrzyło mi się łóżko z którego od tygodnia się nie ruszyłem.

— Ale czy dosyć sił posiadasz?

— Sam powstać nie zdołam, ale przy twojej pomocy, mój drogi.

— Dobrze więc, spróbujemy. — Jak uważam, musisz się czuć lepiej — lekarz wczoraj rano, upewnił mię, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że przebyłeś przesilenie choroby, i że nawet lekarstwa będą może zbyteczne.

— Tak, ja sam myślę, że mi jest lepiej — nic mię nawet nie boli, i tylko czuję się słabym.

— Proste następstwo choroby. — Zaczekaj Hilku, odgrzeję ci rosół, przygotuję talerz, a potem podniosę cię, otulę szlafrokiem, bo przedewszystkiem zalecond ciepło.

— Dziękuję ci, mój drogi, dziękuję—

ty jesteś dla mnie prawdziwym aniołem, niech ci Bóg za to wszystko odplaci.

— Brat brata ratować powinien — odrzekł zwięźle pan Narcyz, i odszedł do piecyka, gdzie właśnie w garnuszku przygrzewał posiłek dla przyjaciela.

Obmywszy własnymi rękami talerz, i nalawszy na niego gorący rosół, zbliżył się do łóżka chorego.

— A więc probójmy, rzecze. Dowód polepszenia się stanu zdrowia, skoro łóżko ci się naprzykrza — podaj mi prawą rękę, oprzeź się lewą na mojem ramieniu, ot, tak — postąp krok tylko, usiądź teraz.

Posadziwszy pana Hilarego, dobry Narcyz otulił go szlafrokiem i kołdrą, a potem patrząc w twarz jego mówił:

— Lepiej, lepiej, mój Hilku. — Zdaje się, że mniejszą masz gorączkę jak wczoraj. — Wszak się posiliz nie prawdaż?

— Dobrze, dobrze, mój drogi, odrzekł

pan Hilary — rosół szkodzić nic nie może, wszak sam doktor pozwolił?

— Tak jest, pozwolił, zalecił nawet. Dobry, nieoszacowany to człowiek! — nie tylko nie szczędzi swojego trudu, ale nawet przyszedł nam w pomoc swojemi funduszami.

— Bóg mu to odplaci, odrzekł z ciężkiem westchnieniem pan Hilary. — Podaj mi ów rosół, czuję apetyt, i kto wie, może mi dobrze on zrobi.

Z całą troskliwością przyjaźni usługiwał Narcyz swojemu przyjacielowi. — Z jego oczów, poglądała troskliwość o zdrowie i życie, w twarzy jaśniała radość, jaka się zwykle objawia, po wypełnieniu dobrego czynu; a cała jego postawa wyrażała zajęcie i chęć poświęcenia się bez granic.

Chory zjadł pół talerza rosółu, żądał, aby go przeprowadzono po pokoju i usiadłszy znowu, mówił:

— Mój drogi, mówileś mi, że pisałeś

do ojca — dobrze, dobrze zrobiłeś, jego pomoc jest mi niezbędna; ale nie pojmuję, dla czego nie dotąd nie mamy od niego.

— Pamiętaj, mój Hilku, że to trzydzieści mil drogi.

— Tak prawda, nim list zaszedł, nim mu doręczono, nim wyjechał... Ah! jakżebym pragnął być u rodziców, zdaje mi się, że byłbym zdrowszy, szczęśliwszy patrząc na ich życzliwe twarze.

— Tak, bezwątpienia — ojciec i matka to prawdziwi przyjaciele.

— Ale nie narzekam mój drogi, mówił pan Hilary przerywając swojemu opiekunowi; są ludzie, którzy czują nie-szczęście drugich, którzy chętnie niosą im pomoc. — Wierzaj mi, ja dopiero teraz wiem, że są cierpienia. — Ja zawsze myślałem, że kiedy wyjdę w świat, to samemi kwiatami uścielą moje drogi. — Ah! mój miły, ileż to trzeba znieść na

świecie upokorzenia, boleści, udręczeń i cierpień!

— Jeszcze ich nie znasz wszystkich mój przyjacielu; ale nie mówmy o tem, gdy będziesz zdrowy, pomówiem ~~obszer-~~niej, bo i ja czuwając przy tobie samotny, snułem wątek myśli, i na niektóre padł promień boski, ożywny, który mi rozweselił duszę i serce. — Przypomnij mi, dużo ci mam powiedzieć.

— Dobrze, dobrze. — Oh! i ja nie mało mam ci powiedzieć. — W gorące dziwne przedstawiały mi się obrazy, pamiętam niektóre, a były okropne. — W jednym z nich, czarująca Ludmiła.

— Ah! dajże pokój z tą kobietą! przerwał żywo pan Narcyz — ze zwyczajną sobie porywczością i oburzeniem, ilekroć mówiono o kobietach. — Wszystkie nienawidzę, a tę podobno najwięcej.

— Jakżeś uprzedzony! mój Narcyzie.

— Bynajmniej. — Bydź może, że tam gdzieś, daleko, na innym świecie są isto-

ty, które czują swoje przeznaczenie; być może, że i u nas je znajdzie; ale ja nie znam ich zupełnie, te zaś co znam, są płóche, nieczułe, bez serca i bez duszy.

— Jednakże Ludmiła...

— Prześtańmy mówić.

— Mnie nie uwierzysz, najprzyjemniej jej imię wymawiać; imię równie słodkie jak ona sama. — Czy wiesz, ja przez cały czas mojej choroby, myślałem o niej, widziałem ją przy sobie, czułem uściśnienie jej ręki.

— Ah! dajże pokój, mój Hilku, bo na honor, pójdę od ciebie.

— Jakżeś niedobry! — Ah! gdybyś wiedział, jak ona jest mi drogą, jak ja żyć bez niej nie mogę. — Opowiem ci mój sen.

— Nie myślę słuchać. — Czy wiesz, wszelkie wzruszenia mogą ci szkodzić?

— Miłe wzruszenia nigdy nie szkodzą; w nich całe życie człowieka się zbiega, w nich człowiek czuje bijące w sobie serce.

— A więc kiedyś uparty... rzekł pan Narcyz, i spojrział po pokoju, jakby upatrywał kapelusza.

— Więc będę milczał — zostań, zostań, Narcyzie, kiedy ty mię odstępujesz, kto mię będzie ratował? Narcyzie, czyż nie umiesz przebaczać przyjacielowi, czy nie znasz co może miłość?... Narcyzie, podaj mi twoją rękę, tak miło czuć przychylne ścisnienie.

Narcyzowi łzy stanęły w oczach, zbliżył się i ściskając rękę pana Hilarego, mówił:

— Jedną znam tylko rozkosz życia, a tą jest poświęcenie się dla brata, bliźniego.—Tak, tobie winienem ją, przyjacielu.—Czy to pojmujesz?... Bywały zdarzenia, że mając pieniądze, z towarzyszami, chciałem się upoić zmysłowemi rozkoszami, i czy wiesz, czego doznałem? oto byłem pijany, odurzony jakby kwasem węglowym oczadzony, że później było mi czczo, smutno, nudnie. — Pierwszy

raz w życiu, przy bracie, bliźnim, z całym poświęceniem, spędziłem tydzień czasu, i tak hojną odebrałem zapłatę, że jej wszyscy panowie ziemi nie są dać w możności — zapłatą tą, jest moje własne zadowolenie. — Ah! mój drogi, jaka rozkosz, w czemkolwiek pomódz bliźniemu. — Na honor, ja się nie znałem zupełnie. — Teraz widzę dopiero, że całe szczęście człowieka jest żyć sercem, poświęcać się dla drugich, i na honor, gotów jestem szukać chorych, aby ich pielęgnować i około nich czuwać.

Dzięki, dzięki ci, mój drogi Hilary — ty mię pogodziłeś ze światem, albo raczej twoja choroba.

Hilary wyciągnął wychudłą rękę, i obaj przyjaciele umilkli w serdecznym uścisku.

Głośne pukanie do drzwi przerwało bratni uścisk, Narcyz albowiem pobiegł aby przybywającemu otworzyć.

Mężczyzna średniego wzrostu, twarzy

ściągłej i bladej, mający około lat pięćdziesiąt, lub więcej, ubrany po podróżnemu, to jest: w futrze i obwiązany chustką wełnianą, ukazał się na progu.

— Mój syn, zdaje mi się, rzecz, tu mieszka.

— Pan Hilary? odpowiedział pytająco pan Narcyz.

— Tak jest, on sam.

— A więc pan jesteś ojcem Hilarego? Ah! jakie szczęście. — Radość z ujżenia ojca, zapewnie sił mu doda. — Ale trzeba go uprzedzić o przybyciu pańskim, aby nagłe wrażenie...

— Bardzo proszę, bardzo proszę — odrzekł pan Bułatowicz, on to sam był albowiem, i począł odwiązywać się z zimowego ubrania...

Pan Narcyz uwiadomił chorego o przybyciu jego ojca, i za chwilę wprowadził go do syna.

— Jakiż zmieniony! zawoła pan Bułatowicz zbliżając się do syna, który

do niego rękę wyciągał. — Hilku, mój drogi Hilku.

I ucałował bladą twarz syna.

— Ojcie, mój drogi ojcie, mówił Hilary całując rękę swojego rodzica. — Jakże jesteś dobry, że tu przybyłeś, jakże ci jestem wdzięczny za twoją dobroć!

W czasie powitań ojca z synem, służący wnosili rzeczy, albowiem pan Bułatowicz zamierzył stanąć u syna. Pan Narcyz spoglądał na wszystko smutnie, jakby żałował tego, że ojciec w staraniu około dziecięcia, jego miejsce zastąpi.

— Narcyzie, mój przyjacielu, pomóż mi położyć się w łóżko, rzekł pan Hilary.

— Ah! mój synu, na cóż fatygować pana, odezwał się ojciec. — Wszak musisz mieć służącego, któremu i moi pomogą.

— Mój ojcie, on całą moją chorobę czuwał nademną.

— Ale teraz nie ma potrzeby.

— Zapewne; ale przyjacielska posłu-

ga jest najmilszą. — Nie uwierzysz, mój ojcze, jak ważną dla mnie była pomoc mojego przyjaciela (ojciec spojrział z pod oka na pana Narcyza i obmierzył go od stóp do głów), przez cały ciąg choroby nie odstąpił mnie na krok, czuwał nademną.

— Przecież masz służącego, odrzekł obojętnie pan Bułatowicz.

— Odszedł mię przed chorobą, z boleścią odpowiedział chory, i potem zwracając się do przyjaciela, mówił: mój Narcyzie, bądź tak dobry, podaj mi rękę, chcę się położyć.

Właśnie pan Narcyz dotykał ramienia chorego pana Hilarego, gdy ojciec go wyręczył, mówiąc:

— Za pozwoleniem pańskim; niech ja mam przyjemność usłużyć mojemu synowi.

Cofnął się pan Narcyz nieco urażony obejściem starego pana Bułatowicza, któ-

ry z niemalém wysileniem, syna w łózko położył.

— Oh! mój ojcie, mówił pan Hilary gdy go położono i przykryto, jak to słodko mieć przyjaciela, który nas w nieszczęściu nie zapomina, który z całym poświęceniem nam służy! — Czemuż mi ojcie nigdy o tem nie mówiłeś?...

— Są przyjaciele, gdy mamy powodzenie, gdy nam los sprzyja, gdy możemy co komu uczynić.

— Oh! nie, nie mój ojcie — zawołał głośno pan Hilary, i odwrócił się do ściany, jakby go światło raziło.

— Jak sądzę, odezwał się z niejaką dumą pan Narcyz — znasz pan złą tylko stronę ludzi, ale dobrej znaleźć nie chciałeś. — Oh! śmiem pana upewnić, że syna pańskiego nie znałem wtedy, gdy mając pieniądze był porywanym i kochanym od wszystkich; wtedy, gdybym go znał, sztydziłbym z niego, śmiałbym się, jak ze wszystkich którzy wierzą w zło-

to i swoją władzę. — Poznałem go wtedy, gdy był potrzebnym, równie jak ja, albo może i potrzebniejszym, bo ja na małym przestaję i nigdy wiele nie pragnę. — Gdym wszedł do niego, był samotnym, opuszczonym, w gorączce, pragnący kropli wody, której mu nie miał kto podać — zostałem przy nim, a zostałem, jako przy człowieku cierpiącym, przywiązałem się do niego, jako do istoty, która potrzebowała mojej opieki.

— Ja sądziłem, że mój syn... przerwał pan Bułatowicz. Wreszcie, ja będę się starał zawdzięczyć.

— Nic nie czynię dla wdzięczności, odparł z dumą pan Narcyz. — Własne moje zadowolenie największą jest nagrodą.

— Hmu! hmu! pomruknał pan Bułatowicz i po chwili zapytał: Jakaż to choroba?

— Gorączka nerwowa, odpowiedział krótko pan Narcyz, tak przynajmniej nazwał ją lekarz.

— Gorączka nerwowa! ciekawym z czego?

— Z zaziębienia i zgryzot.

— Mój syn zaziął? mój syn ma zgryzoty!... przyznam się, tego wszystkiego nie pojmuję. Hilku, wszak ci kupiłem futro, wszak ci przyselałem pieniędzy, które wystarczać były powinny?

Na zapytanie ojca nic nie odpowiedział pan Hilary, ale zmrúżywszy oczy, kilka razy kiwnął ręką, jakby chciał dać poznać, że nie może, lub nie chce odpowiadać.

Nastąpiło milczenie, w czasie którego pan Bułatowicz przezierał pokój swojego syna, kiwał głową i mruzczał, Narcyz wzięwszy kapelusz do ręki, zbliżył się do niego, nakoniec mówiąc:

— Moja obecność mniej jest już potrzebna, a nawet zbyteczną, żegnam więc pana.

— Mocno obowiązany, odrzekł pan

Bułatowicz prostując się, i zadzierając głowę do góry.

Narczyz zbliżył się następnie do pana Hilarego, i łagodnym rzekł tonem:

— Bądź zdrow, mój Hilku, jutro po południu, przyjdę do ciebie.

— Nie chodź, nie chodź Narczyzie — mówił chory błagalnym głosem.

— Nie mogę, nie mogę tutaj pozostać, odrzekł poeta. — To powietrze mię dusi, zatruwa.

— Ale się na mnie nie gniewasz?

— Oh! nie, bynajmniej, tyś cierpiący, ciebie kocham, gotów jestem życie oddać za ciebie.

— A jutro przyjdiesz?

— Niezawodnie.

— Bądź zdrow — pamiętaj o mnie.

I pan Hilary z całą wdzięcznością ścisnąc dłoń przyjaźną, przyciągnął ją do ust swoich, i spiekłemi ucałował ustami.

— Hilku! mój Hilku! powtarzał Narczyz, któremu łzy do ocz nabiegły. —

Bądź zdrow — ja będę u ciebie jak można najprędzej.

Służący pana Bułatowicza zajęli się porządkowaniem pokoju, czego czy nie słyszał pan Hilary, lub nie chciał słyszeć, nie wiemy; ojciec przeglądał recepty, i za chwilę udał się na miasto mając przywołać lekarza, którego z opinii uważał za najlepszego.

Na szczęście, nie zastał go w domu, a w tym czasie, zwykle ordynujący lekarz przybywszy, znalazł stan zdrowia chorego znacznie polepszonym; nie zapisał żadnego lekarstwa i upewnił, że w kilka dni, do zupełnego powróci zdrowia.

Nieco wdzięczniej niż z Narcyzem obeszł się z nim pan Bułatowicz, bo pytał wiele jest winien, i uiszcł natychmiast.

Chory noc przepędził spokojnie; spał dobrze, rano nie miał gorączki i sam mówił, że mu jest daleko lepiej.

Około południa, żądał wstać, i przechodził się po pokoju.

Stan zdrowia pana Hilarego, zadawała ojca, pozwalał nawet wejść w rozmowę, która toczyła się w tej treści:

— Bogu chwała, mówił pan Bułatowicz, że przychodzisz, mój synu do zdrowia; ale jak uważam, twoje położenie, nie jest szczególne i trzeba nad tém pomyśleć, aby nie było gorzej, a lepiej.

Za całą odpowiedź, westchnął pan Hilary, a ojciec mówił dalej:

— Wszak podobno sześć lat już aplikujesz i byłby czas, żeby przypomniano sobie o tobie. — Na honor, ja dłużej już wystarczyć nie mogę, głowa mi pęka i jeżeli jaki szczęśliwy wypadek nie przyjdzie mi w pomoc, chyba Czarny-bór sprzedać wypadnie.

— Sprzedać! zawołał zadziwiony pan, Hilary.

— Nie inaczej, jeżeli sam tego nie uczynię, wierzyciele mię wyręcżą. — Nie mam co tać przed tobą, mój drogi Hil-

ku. — Ciężkie, bardzo ciężkie czasy! — Podatki, towarzystwo, procenta, wołają ustawicznie: płac i płac! — Cóż mówić o utrzymaniu domu? Dzisiaj, przyznam się, gdybym chciał zaoszczędzić się, nie mogę. — Twoje siostry dorosłe, panny na wydaniu, jedna tylko pobiera nauki, dwie zaś, potrzebują przyszłość sobie zapewnić. — Nie przeczę, młodzież kręci się około nich, ale to wszystko nie to, czego nam trzeba; są i młodzi i przystojni, nawet dorzeczni, ale wszyscy patrzą na to, aby co wzięli, a ja na honor, nie mam co dać za niemi. — Rokowałem sobie, że тебе Bóg poszczęści, że znaczną otrzymasz posadę, ożenisz się, przyjdiesz mnie i młodszemu rodzeństwu w pomoc; ale jak uważam, wszystko to jest odległe i czy się kiedy spełni, Bóg raczy wiedzieć.

Jakkolwiek bądź, mój Hilku, trzeba abyś myślał o sobie, bo ja, jak cię kocham, więcej nie jestem w możności cię wspomagać. — Koniecznie trzeba ko-

Łatać, trzeba się starać i chociażby kilka tysięcy czyniącą dochodu posadę pozyskać.

— Trudno, trudno, mój ojcze, odezwał się pan Hilary. — Awanse bardzo są ciężkie, młodzieży wiele...

— Możeby można użyć jakiej protekcyi? zagadnął ojciec. — Wszak wiesz, że mam dawne stosunki i znajomości, które przecież coś znaczą.

— I protekcyę i stosunki, nie wiele pomogą — odrzekł pan Hilary i dodał po chwili: ale, mój ojcze, ja nawet o tem myśleć nie mogę, gdy moje zdrowie jest wycieńczone i jak lekarz mówi, potrzebuję kilkomięsięcznego spoczynku. Przy zdrowiu, łatwiej o czemś pomyśleć; ale teraz...

— Ja nie mówię, że teraz. — Da Bóg, że będziesz mógł wychodzić, wezmę cię na wieś, wiosna nie długo, to przecież na świeżem powietrzu odzyskasz siły.

— Zostawmy to wszystko czasowi,

odpowiedział pan Hilary zniecierpliwiony.

— Wiesz, mój ojciec, że ledwie podniosłem się z łóżka z niebezpiecznej choroby, że ledwie nogi stawiam i karmisz mię przykre mi myślami, jakby one miały mi siły powrócić.

Pan Hilary sądził, że tym sposobem, skłoni do milczenia swojego rodzica i uwolni się od nieprzyjemnych wniosków, jakie mógł robić o jego nieudolności, lub lekceważeniu w otrzymaniu miejsca, do którego nie czuł mieć prawa i które wielu zdolniejszym i pracowitszym powinno przynależeć.

Udało mu się przecież. — Ojciec długo milczał i siedział, wziął nawet jakąś książkę do ręki, przerzucał w niej karty i znudzony nakoniec, jednostajnością, wyszedł na miasto.

Pan Hilary sam pozostawszy, usiadł dumał, myślił i mówił nakoniec:

— Zważając ze wszech miar moje położenie, gdy ojciec więcej nie przyrzeka

dostarczać mi funduszków, w Warszawie robić co nie mam. — Prawdę mówiąc, zupełnie nie czuję powołania do służby biurowej — nudy, niesmak, stawiaj i stawiaj literki. — Jeżeli cokolwiek wiąże mnie do Warszawy, to chyba życie swobodne i niezawisłe, najwięcej zaś moja Ludmiła.

Wymawiając to imię, westchnął z pierśsi, zamyslił się i mówił:

— Dla mego zdrowia, dla spokojności, dla szczęścia w ogóle, nic więcej mi nie potrzeba, jak zaślubić Ludmiłę, zamieszkać z nią w najskrytszym kątku, żyć samą miłością i naturą, która teraz niewymowny powab mieć dla mnie zaczyna. — Tak, nawet niema się nad czem namyślać, pojedę na wieś, powoli usposobię ojca i wyperswaduję mu owe wielkości, które sobie uroił; skłonię do wypuszczenia jakiego folwarku, do zagospodarowania mnie, do zapomożenia i potem...

— Tak, jestem pewny, Ludmiła mnie

kocha i nie odmówi swojej ręki. — Z nią mogę być i będę bardzo szczęśliwym.

Ah! gdybym cokolwiek mógł o niej wiedzieć. — Narcyz obiecał dziś mnie odwiedzić, on pewno widział jej pokojówkę i nie jedno wie o niej. — Ah! jakże go niecierpliwie wyglądam!

Umilkł pan Hilary i snuł zapewne w myśli pajęczą sieć marzeń: gdy przybywszy na wieś, odżywszy świeżem powietrzem, skłoni ojca do wydzielenia sobie folwarku i na nim siedząc, będzie miał dom wygodny, służących ładnie ubranych, piękne konie, powóz modny, świeże meble, fortepian i jak temi wszystkimi rzeczami będzie imponował w okolicy, zachwycił wszystkie panny i jak w końcu, lekceważąc tamtejsze piękności, przywiezie im przed oczy kobietę, wysoko wykształconą, posiadającą wszelkie światowe przymioty, miłą, czarującą, godną zawiści i uwielbienia.

Obrazki, jakie sobie tworzył pan Hi-

lary, musiały czarować jego umysł, bo przyjemne wrażenia piętnowały się na jego twarzy, uśmiech zadowolenia przebiegał po ustach, i oczy niezwykłego nabierały ognia, jakby się chciały rozdzierać ku marzonemu szczęściu.

-- Głośne drzwi otwarcie, ocuciło go z przyjemnego snu złudzeń, odwrócił się, obejrzał i poznał wchodzącego pana Narcyza.

— Ah! jak się masz, mój drogi, rzeczy, właśnie w tej chwili, myślałem o tobie.

— A ty jakże mi się miewasz, mój Hilku, mówił pan Narcyz, podając dłoń przyjacielowi. — Oh! lepiej, lepiej, widać to z twarzy.

Jakże noc przepędziłeś?

— Spałem bardzo dobrze.

— A twój ojciec?

— Wyszedł na miasto. -- Zapewne cię wczoraj obraził. — Nie zważaj na to, to zwykły jego sposób postępowania.

— Przyznam się, nie najprzyjemniejszy.

— Stare przywyknięcia — najlepszy środek nie zważać na nic. — Gdzież byłeś, co robiłeś, od chwili jakieś mnie pożegnał?

— Co robiłem? Oh! ważne, ważne rzeczy — sam Bóg sprzyja moim dobrym zamiarom. — Wyobraź sobie mój Hilku, jakie szczęście, znalazłem miejsce.

— Jakie? gdzie?

— Na nauczyciela, do dzieci.

— Ah! czy to dla ciebie?

— Dla czegoż nie dla mnie? Zgadzam się, dawniej nie podjąłbym się nic podobnego; ale dzisiaj, kiedy pojąłem, jak miło pracować dla szczęścia drugich, kiedy zamilowałem poświęcenie, praca około wykształcenia umysłów, będzie mi najprzyjemniejszą. — Przytém, mój drogi, ja sam będę się uczył. — Oh! ileż ja wiedzę zaniedbałem, ile mam do powetowania!

— Powiedzże mi w której okolicy?

— W Lubelskiem.

— U kogo?

— U pana... zaraz ci powiem, mam zanotowane jego nazwisko.— U pana Glebińskiego.

— Glebińskiego! ah! znam to nazwisko, ma być bardzo godny człowiek i przytém zawołany gospodarz.

— Tak mi o nim mówiono — dom jego ma być domem patryarchalnym.

— Nie znam go z téj strony.— Winszuję ci, winszuję.— Życzę zarazem abyś w twoim nowym stanie, tyle znalazł przyjemności, ile sobie przyrzekasz.

— Znajdę, zaręczam.— Już myślałam o miłowałam pracę; pokochałam poświęcenie i wzdycham do obojga, jako do celu życia.

— Szczęśliwy jesteś, Narcyzie, mówił pan Hilary po chwili namysłu, stokroć szczęśliwszy odemnie, taka drobnostka zadawała cię, czyni swobodnym, a ja...

— A obok pracy, ile ja jeszcze mam nadziei.— Wszak wiesz, że rodzice moi

z nadwężeniem swoich funduszów dali mi wychowanie, i mają prawo wymagać odemnie pomocy. — W szalonych moich myślach, zapomniałem o nich, prawilem o miłości całego rodu iudzkiego, a nie pamiętałem, że ci którzy mi dali życie, cierpią. — Dziś ile będę mógł, przyjdę im w pomoc. — Wszak będę miał 1500 złp. pensyi i zdołam się utrzymać z pięciuset złotych, a oddać im tysiąc. — Ah! jaka to będzie dla mnie przyjemność!

Pan Hilary, jakby nie pojmował uniesień przyjaciela, patrzył na niego niepewnym wzrokiem i milczał.

Po chwili dopiero, zagadnął go ale w innym zupełnie przedmiocie.

— Mój drogi, rzecze, czy żadnej nie dasz mi wiadomości o Ludmile?

— Ah! zawsze jedno, jedno i to samo. Przyznam ci się, dziwną jest zajęcie mężczyzny osobą, która na to niezasługuje.

— Co mówisz?

— Tak. — Nie rozumiem jak można kochać osobę, która nas zwodzi.

— A z kąd wiesz, że nas zwodzi? zagadnął pan Hilary powstając z krzesła.

— Dajmy pokój temu — wspomnienie Ludmiły, a tém więcej jój postępowanie nie może korzystnie wpływać na twoje zdrowie.

— Niepewność gorsza nad samo złe, czy wiesz, ta niepewność dręczy mię i zabija.

— A więc chcesz wiedzieć?

— Chcę, pragnę — przyrzekam ci, będę miał dość siły na zniesienie najprzykrzejszej wiadomości.

— A więc trzeba ci wiedzieć...

— Kończ.

— Czy chcesz koniecznie?

— Proszę cię, błagam.

— Ludmiła za mąż idzie.

— Ludmiła za mąż! nie, to być nie może. — Ludmiła nie miałaby serca za-

bijać innic. — Ona ma tak dobre serce, onaby ulitowała się nademną.

— Ja myślę, że Ludmiła nie ma zupełnie serca.

— Nie bluźń, nie bluźń, mój drogi. Dopóki na własne nie przekonam się o czy, niczemu i niczemu nie wierzę.

— To do Twojej zostawiam woli; jednak sędzę, żeby to najrozsądniej było z twojej strony; abys zupełnie o tej kobiecie zapomniał.

— Nie, nigdy. — Przysięgam — odparł stanowczo pan Hilary.

Jakby chcąc zmienić przedmiot rozmowy, pan Narcyz, zapytał swojego przyjaciela:

— Więc wyjeżdżasz, mój Hilku.

— Jak tylko zdrowie moje pozwoli; nie pierwój przecież, aż pewność posiadania Ludmiły pozyskam.

— Szczęśliwego powodzenia; ale nie

o Ludmile chciałem z tobą mówić.— Jak długo na wsi myślisz zabawić?

— Stosownie do okoliczności.— Jeżeli będę miał zapewnione fundusze, wrócę do Warszawy; jeśli zaś nie, wezmę się do gospodarstwa.

— Nigdy go nie lubileś.

— Polubię.

— Z potrzeby.

— Moj stryj pan Kasper, powiada, że potrzeba najlepszą jest nauczycielką.

— Twój stryj ma słuszność.— Tylko, że nie zawsze ludzie chcą zrozumieć ową mądrą przewodniczkę.

Umilkli, pan Hilary jakby lękając się, żeby jego znajomy nie wrócił do dawnego przedmiotu rozmowy, z kolci zapytał:

— I ty wyjeżdżasz, wszak prawda?

— Za parę dni. — Cieszy mnie tylko, że cię zostawię przychodzącym do zdrowia.

— Ale będziesz do mnie pisywał?

— Najchętniej.

— Wierzaj mi, że moja wdzięczność... (c)

— Nie mówmy o tém.

Jeszcze o rozmaitych mówiąc przed-

(c) Mówiąc o wdzięczności, nie możemy się wstrzymać od przytoczenia zdania *J. J. Rousseau*, który mówi: „Mniej byłoby niewdzięcznych, gdyby wyrachowane dobrodziejstwa nie były tak zwyczajne.— Kochać czyniących nam dobrze jest naturalnem uczuciem.— Niewdzięczności nie ma w sercu człowieka, ale jest interes: dla tego mniej niewdzięcznych obdarowanych, niżeli dobroczyńców, czyniących dobrze z rachuby.— Jeśli mi twoje dary sprzedajesz, odemnie zależy cenę ich ustanowić; jeżeli udajesz bezinteresowanie, działasz podstępnie i ja nie wiem, czém mam twoje dobre odplacić.— Serce słucha tylko praw własnych; chcąc je ujarzmić, wybija się: pozostawiając je wolném, pozyskuje się.

„Ryba usiłująca zerwać się z wędki, na którą ją podstępnie ściągnięto, czy jest niewdzięczną, albo łowiący dobroczyńcą? Czy widziano kiedy, aby zapomniany od dobro-

miotach, pan Narcyz serdecznie pożegnał Hilarego życząc mu zdrowia i wszelkich pomyślności.

czyńcy zapomniał o nim? Przeciwnie, zawsze mówi o nim z przyjemnością i myśli z rozczuleniem. — Jeżeli znajdzie sposobność, z jakimże wewnętrzném zadowoleniem, mówi: Przyszła i na mnie kolej! — Oto głos natury! — prawdziwe dobrodziejstwo nigdy nie uczyniło niewdzięcznym. Emil. str. 209.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN





~~Dear Sir~~ I have the pleasure to inform you

that the same has been forwarded to you

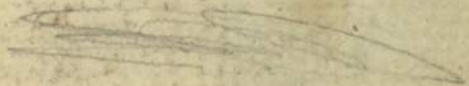
last evening

~~I am, Sir, your obedient servant~~

~~Yours truly~~

TRAUBI Anne

HILARY



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 39327

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171942

5946.
11450/126.

PAN

WILABRY

PRZEZ

MARCELLEGO SKOTNICKIEGO.

Le hommes ne sont naturellement ni grands, ni riches; tous sont nés nus et pauvres, tous sujets aux misères de la vie, aux chagrins, aux maux, aux besoins, aux douleurs de toute espèce; enfin, tous sont condamnés à la mort.

J. J. Rousseau.

A 1901



Bolesław Banach

1901

WARSZAWA,

W Drukarni J. Jaworskiego.

**PRZY ULICY MIDDOWEJ W PALACU RZĄDOWYM
DAWNIEJ PACA ZWANYM.**

1847.



1000170847

A 47038 / 2-3

WOLNO DRUKOWAC.

Z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie d. 27 Marca (8 Kwiet.) 1846 r.

Cenzor, NIEZABITOWSKI.

K 1174/61/5

BIBLIOTEKA
BMCS
LUBLIN

Art 132

ROZDZIAŁ IV.

KONCERT PANA ALFONSA— SPOTKANIE LUD- MIŁY Z PANEM HILARYM— WIECZÓR U PANA ALOIZEGO.

Czwartego dnia po przybyciu ojca, pan Hilary czuł się zupełnie zdrowym, a chociaż mizernie wyglądał, wszystko w nim zapowiadało powrót sił żywotnych i dobre symptomata.— Wstawszy rano, z apetytem i wielką radością ojca, wypił ogromną szklanicę kawy, wypalił sygaro, zaśpiewał aryjkę, którą niedawno słyszał

w teatrze i zażądał, aby mu przypro-
wadzono cyrulika, któryby go ogolił i
ostrzygł.

Jak na Marzec, dzień był pogodny i
ciepły. — Pan Bułatowicz wybrał go
więc na wyjazd z Warszawy i dla tego,
wyszedł z mieszkania bardzo rano, aby
ostatnie ułatwić sprawunki, do których
policzały się czepki dla żony, stroiki dla
córek, i bakalie dla kuchni.

Pan Hilary pierwszy raz po swojej
chorobie, miał wyjść z domu, a że wiemy,
najgorętszem jego pragnieniem było,
zobaczyć Ludmilę, łatwo się więc domy-
ślić, że tam naprzód swoje kroki skie-
ruje.

Mysząc, jakimi wyrazami powita za-
chwycającą piękność, jakie posłyszony po-
litowanie, jakie napotka wejście, nie-
cierpliwie liczył minuty i powoli się
począł ubierać.

Gdy tak w przyjemnych zatopiony
myślach, przechadzał się po pokoju, na-
agle drzwi mieszkania otworzyły się z trza-

skiem i weszedł młody, strojny, nawet balowo ubrany mężczyzna.

Pan Hilary odwrócił się, wlepił ciekawego wzrok i poznawszy dobrze sobie znajomego, zawołał:

— Ah! to ty Alfonsie! jakże się mie-
wasz?

— Dobrze, wcale dobrze, odrzekł za-
pytany ściskając pana Hilarego i dodał
po chwili: Właśnie spotkałem Narcyza,
który mi mówił, że chorowałeś; wcale
tego nie widać, mój drogi.

— Chorowałem, a nawet ciężko, od-
powiedział z westchnieniem pan Hi-
lary.

— Aleś zdrów Bogu dzięki i bardzo
mię to cieszy, bo właśnie bardzo mi bę-
dziesz potrzebny.

— Ja, tobie?

— Nie inaczej, mój drogi. — Będę
żądał od ciebie przyjacielskiej posługi
i jestem pewny, że mi jej nie odmó-
wisz.

— Jeśli tylko w mojej możności . . .
wahająco odpowiedział pan Hilary.

— Ale możesz, możesz i z pewnością
liczę na ciebie.

— Powiedz więc, bo trzeba ci wie-
dzieć, że dzisiaj na wieś wyjeżdżam.

— Dzisiaj?

— Tak, z moim ojcem — chcę ode-
tchnąć na wsi, odzyskać nieco zdrowia,
wypocząć.

— Nie możesz, nie możesz jechać;
przynajmniej, musisz swój wyjazd opó-
źnić, abys mógł małą zrobić dla mnie
przysługę.

— Jaką? powiedz — nie przyrzekam,
nie wiedząc o co rzecz chodzi.

Pan Alfons zaczął chodzić po pokoju,
zacierać ręce, muskać wąsy i żółtą bród-
kę — po chwili, stanął z dumną miną
przed panem Hilarym i rzekł:

— Daję dziś koncert.

— Ty?

— I cóż cię tak zadziwia?

— Bynajmniej; ale... to jakoś w dzi-

siejszych czasach... tylu artystów, tyle talentów.

— Wcale nie większych odemnie.

— Bydź może; ale to jakoś...

— Oh! co oto, bądź spokojny; jestem pewny siebie zupełnie i kiedy zechcecie...

— Ale jesteś tak mało znany.

— Właśnie chcę, aby mię poznano.

— I kiedyż grasz, mój drogi?

— O pierwszej.

— Czy wolno wiedzieć jakie sztuki?

— Oto masz, odpowiedział pan Alfons, ogromny afisz wydobywając z kieszeni. — Gram moje własne kompozycje, bo przyznam się, to gram najwprawniej.

Na afiszu były wypisane: *Grande fantaisie* pana Alfonsa W... wykonania przez niego na fortepianie z towarzyszeniem orkiestry.

Grand *pot-pourri*, kompozycya pana Alfonsa W... wykonane przez tegoż. — *Grande Variation*, kompozycya pana Al-

fonsa W... i wykonana przez niego. —
Prócz tego, galopada i mazur.

Pan Hilary odczytawszy afisz, pokręcił nosem, odkalsnął i rzekł:

— Bardzom ciekawy.

— Tych kompozycyi.

— Nie tyle, ile twojego powodzenia.

— To musi być dobrém.— Naprzód, ufam sam sobie i swojemu talentowi; następnie, liczę na moich przyjaciół, którzy mię wspierać będą. Właśnie przyzedłem prosić ciebie, abys i ty...

— W czém mogę ci być pomocnym?

— Żebyś był na moim koncercie.

— Najchętniej.

— Ale nie dosyć tego, abys chwalił, klaskał, zgoła, utrzymywał moją stronę.

— I o to mniejsza.

— Czterdziestu podobnych tobie muszą salę zagłuszyć.

— Być może; ale nie wmówią w publiczność przekonania o twoich zdolnościach.

— To naprzód odemnie zawisło a pomoc wasza wesprze mnie tylko.

— Boże daj!

— A więc mam ci zostawić bilety; może i twój ojciec będzie tak łaskaw?

— Będę go prosił.

— Jakżeś dobry!...

Tu pan Alfons ucałował serdecznie swojego przyjaciela.

Pozostawiwszy bilety, pożegnał pana Hilarego, mówiąc że bardzo wiele ma jeszcze na głowie i że wiele ma bardzo wizyt do oddania.

Pan Hilary sam pozostawszy, począł się śpiesznie ubierać sądząc, że blisko jedenasta godzina, i że ten czas jest najwłaściwszy na oddawanie odwiedzin.

Kazawszy przywołać dorożkę, udał się na Nowy-Swiat i wysiadł przed domem, w którym zamieszkiwała Ludmiła.

Z bijącym sercem, wbiegł pan Hilary na wschody, drżącą ręką pociągnął sznurek od dzwonka i nad wszelkie spodziewanie, nie ujrzał drzwi otworzonych.

Powtórzył jednak dzwonienie, sądząc że pierwsze nie było słyszanem i po chwili, doczekał się przecież drzwi otworzenia, w których ukazała się pokojowa Ludmiły.

— Czy pani nie ma w domu? zapytał pan Hilary.

— Wyjechała przed godziną, aby pożegnać rodziców.

— Czy wyjeżdżają?

— Tak, panie.

— A czy rychło powróci pani?

— Mówiła, że dopiero około trzeciej.

— Czy sama wyjechała?

— Nie — z jednym panem.

— A kto on taki?

— Ja nie umiem panu powiedzieć.

— Czy nie często bywa?

— I owszem, prawie codzień.

— Zatem go muszę znać.

— Ja nie wiem. — Ah! jakież pan jesteś ciekawy. — Niechże już pan wejdzie dalej, bo wcale nie ciepło stać we drzwiach.

— Bardzo dobrze, moja kochanko mo-

wił pan Hilary do pokojowej wchodząc, chciałbym z tobą pomówić i bardzo jestem kontent, żeś sama.

— Nie rozumiem, jaki miałbyś pan do mnie interes? odrzekła uśmiechając się pokojowa.

— Chciałbym z tobą o twojej pani pomówić.

— O mojej pani?

— Nie inaczej.

— Cóż ja mogłabym panu o mojej pani powiedzieć?

— Oh! bardzo wiele, gdybyś tylko chciała.— Nawet, umiałbym odwdzięczyć twoją grzeczność, moja duszeczko.

— Ale to bardzo źle wynosić co się w domu dzieje.

— Przecież ja nie o dom, ale o twoją panią pytam.

— To wszystko jedno.

— Oh! bynajmniej.— Słuchaj moja duszeczko wiesz o tém pewnie, że twoja pani mocno mię interesuje i że wiele

mi na tém zależy, abym wiedział, kto u niej bywa, kto się w niej kocha.

— A panu co z tego przyjdzie? Ale kiedy tak pan jesteś ciekawy, powiem mu, że w mojej pani bardzo wielu się kocha.

— Oh! o tém to wiem dobrze.

— Ale któż najwięcej?

— Tego nie umiem powiedzieć.

— Kto najczęściej bywa?

— Kto najczęściej?.. Gdybym wiedziała... ale pani zawsze zapowiada, aby nic z domu nie wynosić.

— Mówię ci, moja duszko, że będę u miał być wdzięcznym.

— Ale żeby o tém kto nie wiedział...

— Daję ci słowo honoru... No, dla czegożbym miał rozgłaszać? Powiedz, powiedz, moja duszeczko, to wszystko bardzo mię interesuje.

— Kiedy pan tak pięknie prosisz, trudno się wymówić; ale niech pan nie mówi przed nikim.

— A więc kto, moja duszeczko?

— Pan Henryk.

— Co za pan Henryk?

— Ten sam właśnie, z którym pani pojechała.

— Nie przypominam sobie.

— Oh! on bardzo dawno w pani się kocha, jeszcze kiedy pani z mężem żyła, on bywał, łożył nawet na rozwód, i ma się z nią ożenić.

— To być nie może! zawołał czerwiciąc się pan Hilary.— Ludmiła ma iść za męża! Ludmiła kocha innego! oh! tego nie przeżyję!

— Ale uspokój się pan.— Ja myślę, że chociaż pani ma iść za niego, nie kocha go przecież.

— A ty zkad wiesz? powiedz, powiedz, ulituj się nademną.

— Ja się tylko domyślam.

— Dla czego się domyślasz?

— Bo pani co dzień nową dla niego ma fantazyą, co dzień co innego wymaga i zdaje mi się, że biedaczek nie raz w porządnym jest kłopotcie.

— Jakto! czego wymaga?

— Czego? alboż to pan nie wiesz czego kobiety wymagają?

— A ja zkąd mam wiedzieć?

— Pani lubi się bawić, ubierać, wydawać pieniądze, sam Bóg wie na co.

— I pan Henryk, jak mówisz w pomoc jój przychodzi?

— On o wszystkim pamięta, wszystkiego dostarcza, byle jój się podobać. Oh! co on, to bardzo ją kocha, ale ona nie wiele dba o niego.

— A ty zkąd wiesz o tém?— Skoro przyjmuje jego ofiary i ma być jego żoną, pewnie jest mu wzajemną.

— Oh! mój panie, myślę że nie.— Ja z siebie biorę w tém miarę, bo pamiętam że gdym jednego kochała, to prosiłam go zawsze, aby mi nic nie kupował, żeby nic na mnie nie wydawał i bałam się, żeby mu najmniejszego nie sprawić kłopotu.

— Tak, masz słusność; ale kto wie

może twoja pani zmuszoną jest okolicznościami, może...

— Tego już panu powiedzieć nie umiem.

— Ale czy pewno ma iść za mąż?

— Nawet nie długo.— Sądzę nawet że na święty Józef..

— Muszę się wszystkiego dowiedzieć. Więc mówisz, pani będzie o trzeciej?

— Tak przynajmniej mówiła.

— Bądź zdrowa — za grzeczność będę umiał być wdzięczny.

Panna pokojowa dygnęła, pan Hilary uśmiechnął się i wyszedł.

To niepojęta! mówił do siebie, wsiadając w doróżkę. — Jednakże coś w tém być musi, bo ludzie z niczego nie utworzyliby tak prawdopodobnej wiadomości.

Ruszyła doróżka i szybkim biegiem przebyła przestrzeń oddzielającą mieszkanie Ludmiły od pana Hilarego. — Zamyślony, nie zważał wcale na otaczające go przedmioty, i dopiero zastanowił

1901.



nie się powożącego, ocucilo go nieco z zadumania.

Wszedłszy do swego mieszkania, zastał ojca. — Starszy pan Bułatowicz liczne ułatwił sprawunki, i zachęcał syna, aby jak najspieszniej był gotowym do drogi.

— Mój ojczy, odrzekł pan Hilary, mi mowolnie zaciągnąłem na siebie obowiązek, i i dopełnić go muszę, a nawet, jeśli pozwolisz, i ciebie prosić zamierzam.

— O co takiego? zapytał mięszając się pan Bułatowicz.

— Mój znajomy gra dzisiaj koncert.

— I cóż mię jego granie obchodzi?

— Prosił, aby być na nim; zostawił mi bilety, i liczy na moją pomoc.

— Ciekawym, co ty pomódz mu możesz?

— Przyniosę więcej dwie ręce do kłaskania.

— Aha! rozumiem; mniejsza o to, i ja pójde. — A o której godzinie?

— O pierwszej.

Pan Bułatowicz spojrział na zegarek i rzekł:

— Dwónasta, nie długo i czas będzie.

Wpół do pierwszej, ojciec z synem wyjechali na koncert pana Alfonsa.

W domu, położonym przy jednej z pryncypalnych ulic, ogromna sala, zajmująca w środku wzniesienie dla artysty, obstawione krzesłami i ławkami, miała posługiwać za miejsce zebrania zwolenników harmonji.

Pan Alfons, od kilku dni, wszelkie czynił przygotowania na swoje publiczne ukazanie się, które miało ustalić jego sławę, jak mówił, z bogacić kieszeń i stać w rzędzie pierwszych europejskich artystów.

Pracował w ostatnich dniach szczerze, mianowicie nad zgromadzeniem słuchaczy, i zapewnieniem sobie przychylnych recenzentów; dla tego spodziewać się należy, że powodzenie mieć będzie.

Gdy pan Hilary przybył ze swoim ojcem, sala była zupełnie pusta. — Pan Alfons uwijał się na wszystkie strony, próbował fortepianu, układał nóty, informował orkiestrę, biegał do kassy, aby się dowiedzieć czy co do niej wpłynęło, wyglądał oknem, czy nie zajechał jaki powóz, lub nie przybyła jaka karetka. — Daremne oczekiwania!... Działanie pusty i cichy, kassa zupełnie próżna, i nie ma nawet nadziei, aby koncert zapłacił kosztu.

Powitał najuprzejmiej pana Hilarego, ojcu jego rekomendował się nisko, mówił, że wiele osób spodziewa się, i że te z uderzeniem pierwszej przybędą.

Na wzniesieniu, które już zajęła orkiestra, przy stoliku, siedział jakiś mężczyzna, który twarz ustawicznie zakrywał, rękami, spoglądał w sufit, i kiedy niekiedy coś pisał — pan Hilary ciekawy, ktoby to był taki, zbliżył się do niego

przypatrzył bliżej i poznając pana Narcyza, zawołał:

— Ah! to ty mój drogi, i cóż ty robisz?

— Nie przeszkadzaj, nie przeszkadzaj, improwizuję wiersz do Alfonsa z powodu jego gry.

— Jeszcze jój nie słyszałeś.

— To nic nie stanowi; wiem, że to będzie gra niezwykajna, a choćby i była mało warta, trzeba go wspierać. — Mój drogi, nie przeszkadzaj mi, jestem w całym zapale i muszę przelać go na papier.

Pan Hilary cofnął się na palcach szanując zapal poetyczny. — Pan Narcyz znowu twarz zakrył rękami, a w tém, kilka osób przybyło do sali.

Były to osoby, którym pan Alfons ofiarował bilety — zatem, chociaż uradował się z zapelnienia sali, nie czuł jednak prawdziwego zadowolenia, wiedząc, że kassa nic nie zyskała.

Już tylko kilka minut było do pierwszej, i pan Alfons, z sercem pełnym zwątpienia, wszedł na wzniesienie zamierzając odbyć zapowiedzianą pańszczyznę, gdy przecież weszło kilka dam i kilku mężczyzn. Baczno okiem obejrzał ich pan Alfons chcąc z powierzchowności wyczytać, czy należą do liczby jego sproszonych protektorów, czy też do lubowników muzyki, którzy własną kieszenią zaspakajają swoją ciekawość.

Na szczęście, przybyli należeli do liczby ostatnich. — Wstąpiła otucha do serca pana Alfonsa, na twarz wybiegł promień zadowolenia, i oko żywszym zapłonęło ogniem.

— Bogu dzięki, rzecze do piszącego pana Narcyza, przecież nie dla samych moich przyjaciół grać będę. — No i kiedyż ty skończysz? Uważaj, że pierwsza tylko co nie wybije, i że ja muszę zacząć.

— Zaraz, zaraz, odpowiedział pan Narcyz, szybko rękę posuwając po papierze.

Znowu weszło kilka osób, pomiędzy niemi, młoda piękna kobieta, wsparta na ramieniu wysokiego mężczyzny.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się ku przybyłej, i cichy szmer obiegał pomiędzy mężczyznami.

— Ludmiła! Ludmiła! wszystkie powtarzały usta.

W rzeczy samej, ona to była, mężczyzna zaś jej towarzyszący, był znajomy nam nieco, pan Henryk.

Pan Hilary, najbliżej umieszczony przy wzniesieniu, na którem stała orkiestra i fortepian, usłyszawszy obijające się imię ulubionej jego piękności, obejrzał się i napotkał wejrzenie Ludmiły.

Jakiś czarowny dreszcz przeszedł wszystkie jego członki, rumieniec wystąpił na twarz, i oczy zajaśniały. — Chciał czemprędzej pobiedz, paść przed nią na kolana, bo dzisiaj była tak piękną, tak

świeżą, tak swobodną w spojrzeniu, że najobojętniejszego mężczyznę, zająć była zdolna. — Spojrzał raz jeszcze i zdrzał. — Ludmiła rozmawiała z mężczyzną, którego pan Hilary widział po dwakroć, w którym domyślał się napotkać szczęśliwego rywala, któremu nakoniec, Ludmiła miała oddać swoją rękę.

— Ah! to on! rzecze zgrzytając zębami — nienawidzę go, nie cierpię, wolałbym widzieć szatana.

I odwrócił wzrok od Ludmiły, postanawiając pogardą zdradę odplacić.

Zajęty swojemi myślami, pan Hilary, nie wiedział co się dzieje w około niego, nie widział znajomych, którzy go otaczali, nie zważał nawet ukłonu, jakim go zdarzył przybyły pan Aloizy, a nawet i nie słyszał, że ozwał się fortepian i koncert był zaczęty.

Stał jak martwy posąg, sam nie wiedząc co z sobą począć, a nie słyszał ani

jednej nóty, ani jednego poklasku, którym powitano kilka pasażów wirtuoza.

Nastąpiła przerwa. — Pan Hilary nie mógł się wstrzymać, aby nie spojrział na Ludmiłę. — Oczy ich spotkały się, a w oczach piękności tyle było czulego wyrazu, tyle ognia i życia, że pan Hilary zapomniał o tem, co mu inuwiono, zapomniał o szczęśliwym rywalu, i przecisnął się do uprzejmiej piękności.

Lekkie skłonienie głowy ze strony młodzieńca, uprzejmy uśmiech ze strony Ludmiły, następnie, kilka przemówionych wyrazów, były całem powitaniem znajomych.

Pan Hilary stał milczący przed swoją ulubioną, nie śmiejąc wyrzec wyrazu, i czując się zaambarassowanym; gdy ona przecież odezwała się:

— Nie pojmuję przyczyny, jaka mię pozbawiała przyjemności widzenia pana.

— Chorowałem, krótko odpowiedział pan Hilary.

— Pan chorowałeś!... Ah! jakże pana żałuję, czemuż ja o tem nie wiedziałam?

— Sądzę, że nie sprawiłbym pani przyjemności tą wieścią.

— Tak, zapewne, ale przecież zdrowie przyjaciół!...

— Zanadto dla mnie szczęścia, gdy mię pani w liczbę onych policzasz.

— Ale teraz zupełnie dobrze? zapytała ujmująco Ludmiła.

— Nie ze wszystkim, i dla tego właśnie na wieś wyjeżdżam.

— Na wieś! i kiedy?

— Dzisiaj.

— Dla czego tak nagle?

— Właśnie mój ojciec dzisiaj odjeżdża.

— Jest tutaj?

— Tak pani.

— Na koncercie?

— O kilka od nas kroków.

— Jakżeś pan niedobry nie dać mi poznać swojego ojca!

— Kiedy pani pozwolisz...

— Owszem, bardzo proszę.

W téj chwili, pan Hilary przedstawił swojego ojca Ludmile, która powstawszy, najuprzejmiej go powitała.

Wzajemne przedstawienia się, a następnie, zbliżenie, przerwała nowa sztuka, z którą się popisывał pan Alfons.

Pan Hilary, a nawet jego ojciec zostali przy Ludmile.

Gra wirtuoza nie najwięcej musiała zajmować słuchaczy, bo wciąż, omal nie głośno, słychać było rozmowy — osobliwie zaś pan Hilary jakimś pytaniem przeszkadzał Ludmile, która w wysokim stopniu posiadając muzykę, pragnęła godnie ocenić grającego.

Czy nie znajdując⁷ zadowolenia w grze, czy też² znudzona natręctwem pana Hilarego, odwróciła się do towarzyszącego mężczyzny, i zażądała wyjechać.

Uprzejmym ukłonem pożegnała star-

szego pana Bułatowicza, syna zaś jego pozostawiła więcej gniewnym, niż zadowolonym.

Liczba słuchaczy coraz bardziej się pomniejszała, i pan Alfons z prawdziwą boleścią patrzył, że tylko jego znajomi pozostali. — Wysłony, zniechęcony, nie zdołał wygrać nawet zapowiedzianych sztuk.

Pan Bułatowicz z synem, wyszli prawie ostatni, a pan Narcyz pobiegł oddać do druku napisany wiersz na pochwałę swojego przyjaciela.

Okolo godziny trzeciej po południu, pan Hilary opuścił Warszawę, w której nic nie pozostawiał miłego; albowiem z bólem serca przekonał się, że nie był od Ludmiły kochanym.

W miesiąc po przybyciu jego na wieś, wyczytał w Gazetach o połączeniu się węzłem małżeńskim ubóstwianej przez siebie kobiety z panem Henrykiem.***

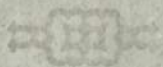
Był to ostatni cios zadany sercu pa-

na Hilarego — uczuł go mocno, ale mówił przecież: To być nie może aby Ludmiła zupełnie mię zapomniała! musiała uledez konieczności, ale pewny jestem jēj serca.



an Illarion — auch so nicht, die uns
 will preisen: To hat die neue abt. zu
 dunn zugehoert die zehnte; inzial
 nicht konnen, die gewis jester ist

151



ROZDZIAŁ V.

NA WSI WYCHOWANIEC MIASTA, UWAGI MAJORA, MIŁOSTKA DLA ZABAWY.

Pan Bułatowicz z synem szczęśliwie powrócili do domu.

Przybycie Warszawianina, dla matki, siostr i całego rodzeństwa, nie małą było przyjemnością — Opowiadanie zabaw, zwyczajów, miejskich wypadków, wzajemnie zajmowały tak pana Hilarego jak i jego rodzeństwo. -- Kilka dni prawdzi-

wie było swobodnych, jak to bywa zwyczajnie, gdy długo niewidziani gdzie przybywamy.

Pan Hilary nie mógł się skarżyć na nudy przez kilka dni — ojciec i matka raz jako gościowi w domu, powtórę, jako świeżo powstałemu z choroby, starali się dogadzać we wszystkim; siostry chodziły i ustawicznie go całowały, służący słuchali tylko skinienia, i pan Hilary prawdziwym panem był w domu. Nawet sam major, którego nie bardzo lubił pan Hilary, uprzejmie go powitał, rozmawiał dużo o stolicy, i przez kilka dni ani jednego nie wyrzekł morału. — Kamil, uprzedzający w grzeczności, nie szukał praw do towarzystwa pana Hilarego, ale chętnie z nim przestawał, i słuchał opowiadań, które gdy dla niego były nowością, niepoślednio go zajmowały.

Pan Hilary przez kilka dni, wiódł życie zupełnie miejskie, a do tego pańskie

i wygodne. — Oddzielny, składający się z dwóch pokoi apartament, sam zupełnie zajmował; matka ubrała go z całą troskliwością i smakiem; jak tego wymagał synek; siostry napełniły go drobiazgami, a ojciec miał na uwadze, aby go uczynić zupełnie dogodnym, zdrowym i przyjemnym.

Zwyczajną było rzeczą, że sypiał do dziesiątej, bo tak przywykł w Warszawie, gdzie czas swobodnie ulata, hyle były pieniądze! na wsi nie mając tyle zajęć, widział stosownem zrobić sobie więcej jak wypoczynek, bo przecież dla tego przyjechał, i myśleć o niczem nie potrzebował. — Prawda, nie raz, starszy pan Bulatowicz, mówił cicho, bojąc się obrazić syna: Ah! jakże Hilek długo sypia! to nawet dla zdrowia nie dobre. — Uspakajała go przecież małżonka, perswadując, że to pewno choroba zmieniła się w ten symptomat, i że sen wpłynie na ustalenie zdrowia, i pomnożenie

sił. — Major, któremu nie tajny był, przydługi wypoczynek jego bratónka, mówił do ojca: Ah! panie Kajetanie, jak, też mozesz pozwalać tak długo sypiać synowi! — Młody człowiek nie mający w sobie życia, i pragnący snem czas zabić, powno nie wie, dla czego żyje, nie ma żadnego celu, i nigdy nic na świecie nie zrobi. — Teraz się wcale nie dziwię, że w Warszawie nic zrobić nie mógł; wszak wszędzie trzeba pracować!

Przywiązany ojciec usprawiedliwiał syna, chociaż sam czuł dobrze prawdę, jaką major mu opiewał, bo cóż miał mówić? osobliwie, że ociężałość i lenistwo dziecięcia, było wpływem pieśczośliwego wychowania.

Wstawszy, jakeśmy powiedzieli o godzinie dziesiątej, pan Hilary pił kawę, palił fajkę lub sygaro, czasem wychodząc do pokoju sióstr, którym prawił duby miejskie, rozparłszy się na sofie, lub kanapie.

Sniadanie, na które matka pragnąc synka uraczyć, starała się o najlepsze konfitury i marynaty, o porter, wino, kawior, ciastka, pierniczki, cukierki, było może najprzyjemniejszą chwilą dla pana Hilarego. — Zwykle, wpadał w dobry humor, dowcipkował, żartował z siostrami, i ustawicznie palił fajkę.

Obiad, przybycie sąsiada, następnie wiścik, lub inna gra, chroniły go od znużenia. — Jeżeli zaś chciało nieszczęście, że nikt nie zajrzał w dom pana Bułatowicza, zwykle pan Hilary ziewał po obiedzie, czasem skarżył się na ból głowy, i znowu udawał się na spoczynek!

Podobne życie, chociaż po niewygodach Warszawskich, jakich często doznawał straciwszy pieniądze, było dla niego przyjemne, spowodowało jednak znudzenie, któremu radząc pan Hilary, żądał oddać kilka odwiedzin sąsiadom, zobaczyć dawniej sobie znajome panienki, i dla ulżenia sercu, jaki romans zawiązać-

Jako dorosły kawaler, oddając wizyty, stosownie do swego stanu i możliwości majątkowej rodzica, musiał wyjeżdżać powozem, czterma końmi, z ludźmi w liberyi, i sam ubrany modnie, bo przecież przybył z Warszawy, i parafianinem nie chciałby się przedstawiać.

Sam honor pana Bułatowicza wymagał, aby syn jego przedstawiał się, jak można najlepiej, i za naleganiem matki, albowiem znalazła znaczny niedostatek bielizny i garderoby, musiał wszelkie zaspokoić potrzeby.

Szóstego dnia po przyjeździe swoim, pan Hilary oddał wizytę jednemu z sąsiadów, żyjącemu na równi z domem państwa Bułatowiczów, i dla tego, zwanym, najlepszym przyjacielem,

Myśl, że bawił sześć lat w Warszawie, że przestawał z rozmaitemi ludźmi, że widział wiele, że słyszał więcej, że jest postępowym człowiekiem, (bo tego wyrazu, którego może i nie rozumiał, na-

słuchał się do sytu); przelała w niego przekonanie, że na wsi nic nie wiedzą, że wszędzie jest ciemnota, że człowiek bawiący w mieście, ma prawo wymagania jakiegoś rodzaju szacunku, ugruntowanego na jego wyższości i dla tego, pan Hilary patrzył na wszystkich z góry, przybrał ułożenie napuszone, lekko-ważące wszystko, zarozumiałość i pewność swego zdania, któremu nikt nie powinien się sprzeciwić.

Zapewne podobne postępowanie nie najprzyjemniejsze i nie dziw, że pan Hilary w zamian napotkał dziwne spojrzenia, zimne obejście się, a nawet mniej przychylne sobie twarze.

Powrócił nieukontentowany, ganił wszystko, i serdecznie westchnął za miastem, gdzie tyle jest środków zabawy, dowolnej do wyboru, i mogącej przybierać charakter, jaki się tylko podoba.

Siedział i siedział — ziewał, i z nudów zaczął czytać.

Szczególniejsze było czytanie pana Hilarego. — Z książką, kładł się na sofie, przebiegł parę kart, i zmrużał powieki.

Nieczynność, nudy, poczęły go trawić i wprawiać w zły humor. — Często na ojca patrzył krzywo, naganiał matkę, z siostrami się klócił, i prawdziwym w domu został ciężarem.

Spostrzegał to dobrze pan Bułatowicz, martwił się w duszy, chciał mówić synowi, aby do Warszawy wyjechał; ale lękał się go obrazić, i jak zwyczajnie w przykrych położeniach, udał się po radę do brata.

— Kochany Kasprze, rzecze do majora, głowa mi usycha, sam nie wiem co mam robić z Hilarym.

— Jakto nie wiesz? zapytał zdziwiony major. Wszak przeznaczyłeś go do stanu urzędniczego, i zapewnie nie wyrzekłeś się jeszcze twoich świetnych nadziei.

— Ale bo to widzisz mój bracie... to

jakoś teraz... ja nie wiem co się to zna-
czy, ale ciężko wybrnąć młodemu czło-
wiekowi.

— Tak, zapewne, ciężko; ale dla sil-
ny woli nie ma trudności. Wszak widzie-
my, że tylu młodzieży, bez pomocy, bez
protekcji, sami sobie oddani, wychodzą
na ludzi. — Wszystkiego dokonać mo-
żna, tylko jak ci to dawniej mawiałem,
potrzeba woli, wiedzy i siły.

— A jeśli którego z tych trzech rze-
czy brakuje? zagadnął pan Kajetan.

— Na to nie ma sposobu.

— Otóż muszę ci szczerze się wyspo-
wiadać: Jak uważam; Hilary nie ma chę-
ci zostać urzędnikiem.

— To niechaj nie będzie.

— Ale nie mam z nim co zrobić?

— Na cóż ty masz robić, mój bracie?
Zdrów, silny i sam sobie może radzić.

-- Ale przecież wypada, aby ojciec,
a do tego ojciec mający jaki taki mają-
tek dał pomoc dziecięciu.

— Tak, zapewne; ale w takim razie, kiedy dziecię chce pracować. — Ja zaś uważam, że twój Hilary nie pomyśli nawet o pracy, bo chociaż tutaj, mógłby znaleźć zatrudnienie, mógłby się zająć gospodarstwem, ciebie wyręczać.

— Tak, zapewne; ale może nie chce się wtrącać, albo też...

— Więc spytaj go, co myśli z sobą robić.

— Mówił mi, że pragnie bawić na wsi.

— Bardzo dobrze, ale musi coś robić.

— Tak, tak, zwłaszcza, że chłopiec dużo potrzebuje a ja nie jestem w możności dostarczać mu na wszelkie fantazyc.

— Dla tego też niech pracuje na siebie, i moja rada, niech powróci do stanu, w którym nie mały czas strawił, i który ciebie dosyć kosztuje.

— A jeśli nie zechce?

— Niech sobie inny obierze; ale niech zmieni sposób życia, niech zamiłuje pra-

cę, niech pozna potrzeby własne, i potrzeby ludzi, z którymi żyje. — Wielki błąd popelnia mój bracie, kto obiera zawód dla dziecka; rzadko w nim znajduje pociechę, a zawsze zamiast wdzięczności, wyrzuty. — Mojem zdaniem, wychować tylko człowieka, a on w każdym stanie da sobie radę, i znajdzie zadowolenie. — Mówiąc o Hilku, i mój Kamil na myśl mi przyszedł. — Na honor, ja nie chcę wcale, aby godzinę żył bez celu, i dla tego, chciałbym go jak najprędzej wyprawić żeby kończył nauki. — Chłopiec zamiłował niesienie pomocy bliźnim i wciąż mi gada, że chce zostać lekarzem. — Sliczny to zawód, nic nie mam przeciwko niemu, i z usposobieniem Kamila, sądzę, że mu nie sprawi cierpień. Otóż, kochany bracie, biedny Kamil odwołuje się do ciebie; chciałbym mu dać jakie parę tysięcy na drogę, a zresztą niech się sam stara.

— Niegodziwe czasy! westchnął pan

Kajetan; pieniądz tak rzadki, i przykro mi mój bracie, że cię na zwłokę narażam.

— Nie mnie, ale Kamila. — Prawda, nie daję ja mu próżnować; musi wstać rano, bo jego nie trzeba nawet budzić; czyta, pisze, uczy się języków i myślę, że przecież coś mu do głowy przybywa; ale powtarzam ci, mój bracie, młodość to skarb nieoceniony, w niej trzeba robić zapasy na późne lata. — Nie mówię ja tu o zbiorach majątkowych, bo nigdy nie dałem mu nawet myśli, że w dostatkach spoczywa szczęście, a nawet zapewnienie bytu, ale mówię o u-sposobieniu ducha i serca, które jedyną stanowią wartość.

— Tak więc, mój bracie, potrzebujesz pieniędzy?

— I bardzo. — Zważaj sam, że Kamil na zwłokach wiele może szkodować.

— Będę się starał; ale czasy zbyt ciężkie. — Rok niegodziwy, wszystko zboże

sprzedane, kredyt wyczerpnięty, i choćbym chciał...

— Wiem ja to dobrze, mój drogi; ale zważaj, że ja nie mam się udać do kogo.

— A cóż mi radzisz z Hilarym?

— Radzę ci abyś mu nakładał w głowę, przedstawił swoje położenie i zmusił do pracy.

— Do widzenia, mój bracie.

— Do widzenia.

Pan Kajetan wyszedł z pokoju brata w zamiarze pomówienia z synem, skłonienia go do rychłego powrotu do stolicy, a wrazie objawienia jego niechęci, dowiedzenia się, co myśli o sobie.

Właśnie zastał pana Hilarego ubierającym się, albowiem na dzień dzisiejszy uprojektował oddać wizytę jednemu z sąsiadów.

Usiadł pan Bułatowicz, kalsnął kilkakroć, westchnął i nie śmiejąc ust otworzyć, wyszedł.

Młody pan Bułatowicz wyjechał w naj-

lepszym humorze, powrócił zaś późno nieco kwaśny i zgryźliwy.

Znowu minęło kilka dni nudnych i monotonnych — po ich upływie, pan Hilary miał sposobność zbliżenia się do kilku bezzennych z młodzieży i zasmakował w ich towarzystwie.

Począł więc jeździć i odwiedzać swoich znajomych. — Zdarzało się, że po tygodniu nie bywał w domu, i powróciwszy, zwykle, nalegał ojca o pieniądze.

Pewnego razu mówił:

— Jakżeż mój ojciec, bez grosza będą się włóczył? Gdzie jestem, grają; i ja przecież przy stoliku stać nie mogę. — Wyjedziemy do miasta, potrzebuję także pieniędzy, bo niepodobna mi patrzeć na cudzy obiad, albo na cudzy kieliszek wina.

— Wszystko to prawda, odrzekł ojciec; ale cóż pocznę, kiedy grosz bardzo jest trudny w tych czasach?

— Przyznam się, odrzekł gniewny synalek, ale ojciec rządzić się nie umie.

— Jakto!... odrzekł zaczerwieniony pan Bułatowicz. — Cóż ja tu zrobię?... wszelkie dochody z dóbr biorą wierzyciele i ja jestem tylko ekonomem na moim majątku.

— A na co ojciec długi zaciąga?

— Na co? na co? a to pięknie! to mi się podoba!.. A czy nie wiesz, że dla was i dla waszego wychowania zrujnowałem się?

— I w tem nie nasza wina — obojętnie odpowiedział pan Hilary.

Umilkli — ojciec przybrał na twarz surowość, syn nieukontentowanie i rozeszli się, każdy w inną stronę. — Przecież wyrażenia pana Hilarego dojeły do żywego starszego pana Bułatowicza, że przypomniał sobie słowa majora.

-- Ciężkie życie! rzeczy z westchnieniem, własne dzieci wyrzucają ci twoje postępowanie i niewdzięcznością opłacają starania. — Darmo, raz z Hilkiem skończyć potrzeba, bo i Walerek kończy szkoły i na głowę mi przyjdzie. —

I z nim także bieda. — O stanie duchownym ani mu wspomnieć, chce gospodarzem zostać, a Bóg wie na czém będzie gospodarował, jeżeli czasy się nie polepszą.

Umilkł pan Bułatowicz, podparł się i dumał.

Z nadchodzącą wiosną, pan Hilary więcej przesiadywał w domu, często wychodził do ogrodu, wdawał się nieco w gospodarstwo i to postępowanie pocieszyło ojca.

Jakaż to nagła zmiana w panu Hilarym? czy pokochał piękną, rozwijającą się naturę? jedwabną trawę, zielone liście, śpiew ptasząt, dzienny blask słońca i świeże, czyste powietrze? Czy ze śpiącej istoty, został dumaczem, marzycielem, albo z nieczynności poetą? Bynajmniej.

Idźmy za nim, a przekonamy się.

Właśnie słońce jest nad zachodem i kąpie swoje rumiane lica, w przejrzystym kryształe sadzawki — zdala sły-

chać grzechotkę powracającego bydła i wtórzy jój flet pastuszy; wietrzyk szmerze po bladych jeszcze listkach i woń ziół rozlega się zwolna w powietrzu.— Natura skłania się zwolna do spoczynku, cichnie gwar, jedna jasna gwiazdeczka wznosi się na tle błękitu, wszystko tchnie spokojnością i dumaniem.

W części najbardziej oddalonej ogrodu, lekko stąpa młoda dziewczica, dziecię prawie, tak jój twarzyczka jest niewinna i piękna.— Oko jój niespokojne, objawia wielkie wzruszenie, rzekłbyś, że trwogę lub bojaźń.— Włoski jój czarne, spadają na białe ramiona, które osłania, lekka, kolorowa chusteczka.— Szatami jój powiewa wietrzyk, jakby się bawił z jój piękném ciałem.

Stała, drży, niespokojnie spogląda, blednie i znowu się czerwieni — zdaje się czekać na kogoś, kogoś wygląda, pragnie zobaczyć i widzieć się boi.

Na kogóż czeka?

Na kochanka.

Któż tym kochankiem?

Pan Hilary.

Któż ona sama?

Jak widzieć można, młoda i piękna — niewinna i czysta. — Dziecię, w którym poraz pierwszy, serce mocniej uderzyło, gołębica, którą jeszcze nie płoszy widok jastrzębia, anioł, który z ufnością zniża się do ziemi.”

Ale jej stan, jej mienie?

Jej stan, stan niewinności; mienie, serce czułe, niewinne, zdolne do łez i poświęceń. — Takie serce, to skarb nieprzebrany, nieoceniony niczem — Szczęśliwy, kto je pozyska, szczęśliwy komu one do szczęścia wystarczy, szczęśliwy kto je umie ocenić!

Serce téj młodej paniienki, już nie jest jej własnością, już ono bije rzewnie, a bije do młodzieńca, do owego przedmiotu, który obwijają wszystkie myśli dziewczyny. — Dziewczyna kocha i sama siebie nie pojmuje, jakaś tęschnota

ją opanowała, wszystko ją nudzi, prócz wspomnienia o lubym, wszystko jęj obojętném prócz widoku miłego, wszystko mało znaczącym, prócz jego miłości.

Jakaż walka uczuć w jęj duszy!... co się dzieje w jęj biednem serduszk!

Pragnienie szczęścia bicie jego podwaja, obawa miesza to szczęście; jakiś tajemny instynkt odzywa się głucho, bo go stłumia, mocne, gwałtowne uczucie.— Biedaczka!

Otóż słyhać stąpanie, dziewczyna nieśmiało spogląda, dreszcz ją gwałtowny przebiega, sama nie wie co począć; chciałaby ujrzyć lubego i lęka go się zarazem; chciałaby uciekać i stoi jakby związana; serce jęj bije gwałtownie, myśli się nagle mieszają, sama nie wie co się z nią dzieje; ale jakiś ogień przyjemny przebiega jęj żyły, jakaś luba niepokojność odzywa się w duszy, jakieś niezaspokojone pragnienie pała tak silnie, że zarazem doznaje roskoszy i bo-

leści. — To pierwsza miłość dziewczyny — miłość czysta, niewinna, jak jej dusza i serce — niepojęta, jak ona sama, nieodgadniona, jak zakryta przyszłość.

Pan Hilary, on to był albowiem szczęsnym młodzieńcem, na którego dziewczyna czekała, pewnym i szybkim podsunął się krokiem, zbliżył się do niej samej i prawie bezprzytomną, ujął w objęcia.

Dziewczyna nic nie widziała przed sobą; jakaś pomroka osłoniła jej oczy; nie wiedziała co się z nią dzieje; lecz była szczęśliwą, jak niewinność w objęciach kochanka.

— Pan Hilary pierwszy przemówił:

— Justyno, co tobie?...

Żadnej odpowiedzi, tylko stłumione odezwało się westchnienie.

— Justyno, ty drżysz okropnie, znowu mówił pan Hilary. — Justyno, droga Justyno, tegoż to spodziewałem się od

ciebie?... Justyno, toż to nazywa się kochać?

— Oh! Boże! odezwała się dziewczyna; Pan nie wierzysz, że go tak kocham.— Ale ja bardzo źle uczyniła przychodząc tutaj.— Cóż miałam czynić, kiedy mię pan o to prosiłeś?... lękałam się, żebyś się pan nie zmartwił, bo co ja, to bardzo się lękam o pana.

— Dla czego? dla czego, Justyno?... Oh! ja umiem cenić twoje poświęcenie. Oh! ja umiem być wdzięczny. — Bądź spokojną Justyno, nikt nas tutaj nie dojrzy, możemy żyć dla siebie.

Dziewczyna uścisnęła dłoń pana Hilarego i odpowiedziała:

— Ah! gdybyś mię pan kochał!

— Kocham, kocham nad życie. Postąpmy dalej, wejdźmy do altany, chciałbym z tobą pomówić.

— Panie, odrzekła Justyna, gdyby to ojciec mój zobaczył, byłabym bardzo nieszczęśliwą.

— Bądź spokojną, ja to przewidzia-

łem i twego ojca wyprawilem na drugi folwark.

— Zawsze to źle, że oszukuję mojego ojca, mówiła znowu dziewczyna. — Ale ja nie wiem co się ze mną stało od niejakiego czasu; nic mię wszystko nie obchodzi, zapomniałam o wszystkiem, a myślę tylko o panu.

— Dobra, kochana Justyno.

— Ale ja lękam się czegoś, ja jestem bardzo niespokojną, bo co z tego będzie?

— Ufaj mi, ja cię nie zdradzę, — od powiedział pan Hilary i pocałował małą rączkę dziewczyny.

— Pójdź, pójdź, mój Aniele, mówił po chwili, chcę się z tobą nacieszyć, chcę przekonać się, ile mię kochasz.

I chciał pociągnąć za sobą Justynę.

Oh! nie, nie panie, nie mogę iść za tobą.

— I wyrwała swoją rękę z dłoni młodzieńca.

— Justyno, ty mię nie kochasz? pytał pan Hilary.

— Kocham; ale iść muszę;— to nie dobrze, gdy człowiek się tai.— Oh! ja jestem bardzo winną i pan mnie kochać przestaniesz.

— Nie, nie lękaj się.

— Nie mogę, nie mogę — ojciec może przyjechał, i zdziwiłby się, gdyby mię w domu nie zastał.— Oh! on i tak zasmuca się patrząc na mnie i nie pojmując odmiany.— Panie, ja nie mogę go zasmucać.— Cóżby on powiedział wiedząc, że pana kocham!

— Bądź spokojną.

— Do widzenia, jutro się zobaczymy.

— Zaczekaj, zaczekaj Justyno, ja z tobą rozdzielić się nie mogę.

Dziewczyna przystanąła, a pan Hilary zbliżywszy się, uścisnął jej dłoń bo twarz uchyliła.

— Do jutra, rzecze Justyna.— Jutro rano, chętniej i spokojniej będę z panem rozinawiała.

To mówiąc wyrwała swoją rękę z dłoni młodzieńca i szybko, lekko zniknęła mu z przed oczu.

Pan Hilary zostawszy sam, mówił do siebie:

— Bawi mię ta miłość dziewczyny. — Na honor, gdyby ją Narcyz zobaczył, nie powiedziałby sądzę, że wszystkie kobiety mają serce z kamienia. — Ale jak drżała, jak była niespokojną! To dowód jej niewinności. — Nie trzeba ją zrażać i dobrze uczynilem, że nie zatrzymałem ją dłużej, to ją większą natchnie pewnością. — Umilkł i zamyslił się. Po chwili, powracając do swojego pokoju, mówił: Ręki mojej oddać jej, wcale nie myślę, ale ją lubię i muszę posiadać. Jednakże... alboż to ona nie powinna być przygotowaną? Alboż... Ale na co te wszystkie myśli. — Kocha mię, to dosyć i na nudy wiejskie doskonale wynalazłem lekarstwo.

Z mowy pana Hilarego łatwo się domyśleć można, że biedna Justyna nie

znajdzie szczęścia w pierwszych, niewinnych, a czystych swoich uczuciach. Pan Hilary za nadto jest samolubny, aby pojmował rozkosz poświęcenia, aby oszczędzał cudzej bolesti, aby umiał pojmować rozpacz zakrwawionego serca. Od dzieciństwa, uczono go, aby żył sam dla siebie, on też przyjął za nadto tę zasadę i nie pyta jakim okupem zyska własną przyjemność.

Niech kto chce cierpi on nie wie o tem.

Czas to pokaże.



Najbardziej szkodliwa w piwnicach, niewin-
 nych, a nawet w innych miejscach. Dla
 zdrowia za bardzo jest szkodliwa, aby
 znajdował w nich posiedzenie, aby oszpe-
 dzał choroby, aby miał przyjem-
 ność, to może zakwaszającego serce, (1)
 i ciężką, wzdęcie, aby się nie da-
 wać, on też przysięga, że bardzo to szko-
 dli i nie może jakin obywatela zabrać wie-
 dzę przysięga,

Niech kto chce więcej o nich wie-
 dzieć

(Kam to pokazać)



ROZDZIAŁ VI.

OJCIEC I CÓRKA.— STARY EKONOM.

SMUTEK KOCHANKA.

Justyna była córką ekonoma pana Bułatowicza.

Stan jój, położenie w świecie, zawisłość ojca czyniły ją podrzedną w oczach pana Hilarego, który o tyle cenił ludzi, o ile oni zaszczycają się majątkiem, lub znaczeniem.— Jój wdzięki i młodość były dla niego powabem tylko zmysłowym,

niewinność i czyste uczucia, za cel igraszki; szczęście jęj rzeczą zupełnie obojętną; przepędzenie zaś czasu, albo raczej samolubna rokosz jedynym celem zbliżenia.

Prawdziwa miłość znajduje najwyższą i najczystsą rokosz w samych poświęceniach; taka jest tylko szlachetną, taką godną poszanowania i wzajemności. Wszakże pan Hilary nie zdolny był takiej uczuwać, bo sympatyzował stosownie do wpojonych węń zasad nie z cierpieniami ludzkości, ale z ich pozorném szczęściem i blaskiem. — Myśl żniżenia się do biednej i ubogięj dziewczyny, która całe skarby w sercu swoim nosiła, niepostała mu w głowie, co mówię przeląkłby się jęj nawet, zaparł ze wstydu i wyrzekł znajomości z dziewczyną. Ona tylko córką Ekonoma!...

Jakież więc były cele pana Hilarego?

Zabawa tylko, odpowiadamy; lekarstwo na wiejskie nudy, igraszka z uczuciami dziewczyny, a może rokosz nie godna szlachetnego człowieka.

Niebezpieczeństwo wielkie zagrażało biednej Justynie; ale nie pojmowała go, nie umiała obmierzyć, bo kochała, a kochała z całą wiarą i nadzieją pierwszej miłości.

W biednej głowie dziewczyny, myśli i marzenia przewalały się, jak czarne chmury, które burzę i błyskawicę zwiastują.— Wszystkie jej myśli były tylko o panu Hilarym, ale nie było pomiędzy nimi ani jednej dumnej, samolubnej, o sobie.— Jego obraz ustawicznie był przed oczyma, każdy jego wyraz brzmiał jej ustawicznie w uszach, każde jego ścisnienie ręki, we śnie uczuwać się dawało.

I dziewczyna stała się niepodobną do siebie.— Wesoła, stała się milczącą, zamysloną, rzekłbyś smutną i cierpiącą.— Przytomna i czynna, zapominała się czasem, siadała z założonemi rękami, zasłaniała oczy, często jakby przez zapomnienie ciężko wzdychała i zalewała się łzami.— Pracowita, zniechęciła się do roboty, albo raczej robota wypadła jej

z ręki, bo tylko marzyć było jej najprzyjemniej. — Zwyczajną było rzeczą, że usiadłszy z robotą, trzymała ją długo w ręce, rzucała nakoniec i biegła do okna, przy którym nieporuszona jak posąg, z wzrokiem wybiegającym na świat, całe przepędzała godziny.

Czegóż stała przy oknie?

Rzecz prosta, wyglądała kochanka spodziewała się zobaczyć go, powitać.

I nie mogąc się doczekać, odchodziła smutna od okna, stawiała często przed ubogim domkiem, patrzyła i patrzyła ustawicznie. — Nie widać jej miłego, a sercu nudno, tęskno; więc na białe ramiona zarzucała chustkę i wybiegała do ogrodu, gdzie spodziewała się spotkać z kochankiem, albo przynajmniej zdaleka go zobaczyć.

Oh! niebezpieczna to pierwsza miłość i jeżeli ku niegodnemu skierowana przedmiotowi, gorzkie przynosi owoce.

Ojciec Justyny, już człowiek nie młody, bo służąc w wojsku, późno się ożenił

był wdowcem od lat siedmiu. — Justyna miała lat osiem, gdy utraciła matkę.

Człowiek którego kółko żywota co raz się mniejsze zakreśla, który coraz bardziej mniejszym świat widzi, tém więcej się przywiązuje do istot, które szczęście jego stanowią. — Owdowiały pan Grzęda (tak się bowiem ekonom państwa Bułatowiczów nazywał) cały swój ziemski świat widział w jedynej córce.

Pracować dla niej i na nią, po dziennym trudzie odżyć jej pieśczętami, w zinroku przyszłości, czytać jej przyszłe losy, widzieć ją piękną, czystą, kochaną: Oto życie i cel życia poczciwego ojca.

I z dzieciną rosła mu radość. — Codzień dziewczynka większa, codzień rostopniejsza, codzień ładniejsza i miłsza, codzień więcej go kochająca, codzień większą jaśniejąca nadzieją.

Mała jeszcze dziecina, a już umiała opłacać prace i staranie rodzica.

Gdy powrócił do domu, już go czeka na progu, już całuje jego rękę, wieszka

się na szyi, wnosi skromny posiłek i szczebiocze owe drobnostki nic dla wszystkich nic nieznaczące, ale tak przyjemne, ale tak drogie każdemu ojcu.

Jeszcze tak słaba i bezsilna, stara się być użyteczną.— Kto ojcu poda koszulę białą? Justyna.— Kto ojcu zawiąże chustkę? Justyna.— Kto dojrzy, aby obiad był w czasie i dobrze ugotowany? Justyna.

A w czasie słabości ojca, któż dla niego zastąpiłby owego aniołka, który ze zwilżonemi oczyma, czuwa przy łożu boleści, nie chce na chwilę zasnąć, nie dopuści obcej posługi, ale jest wszystkim i jeszcze więcej być pragnie?

Zdaje się, że konający ojciec, spojrzawszy na tak drogie dziecko, tylko dla tego, pragnąłby życia, aby dłużej przy niem pozostać, dłużej się niem cieszyć i odbierać wzajemną miłość.

Wreszcie urosła dziewczyna, sliczna

jak anioł, dobra, skromna, czuła, pociecha i duma ojca.— Pan Grzęda spoglądał na nią, jako na skarb najdroższy, cieszył się nią, nie myśląc nawet, aby mu kto śmiał wydrzeć jego życie; był zupełnie swobodny i szczęśliwy, chociaż ciężko pracował.

Nagle, czułe oko ojca, dostrzegło zmiany— przypisywał je słabości i badał Justynę.— Była zupełnie zdrową.— Widział swój domek zaniedbany, mniejszą troskliwość o siebie i było mu przykro, ale nic mówić nie śmiał, bojąc się zmartwić dziecięcia.— Patrzył na wszystko, serce go bolało i nie mógł odgadnąć.

Pewnego dnia, wieczorem, wracając z pola koło ogrodu, przez ocienione liście dojrzał postać kobiety.— Nadstawił uszu i wpadł mu głos dobrze znajomy, głos dźwięczny i najmiłszy dla jego serca.— To był głos jego córki.

Przystanął, ciekawe oko zapuścił w ogród i dojrzał kogoś drugiego.

Tym drugim, był syn jego pana — Chłopiec dumny, rozkazujący, który mu nie raz dał uczuć przykry los; chłopiec na którego twarzy, nie świeciła ani myśl, ani uczucie; chłopiec, którego nikt ze służących nie lubił, ale któremu z bojaźni wszystko ulegało.

Zadrzał, krew nabiegła mu do serca, wyprężyły się ramiona i był gotów przeskoczyć wysoki parkan, porwać własne dziecko, trupem położyć syna pańskiego i chronić swój skarb najdroższy choćby w najbezludniejszą pustynię, bo dla jego szczęścia wystarczał suchy kawałek chleba i miłość dziecięcia,

Zastanowił się przecież, ochłódł nieco, bo i dziewczyna, czy go dostrzegła, czy też spodziewając się jego przybycia, jak spłoszona sarna uciekła.

— Trzeba to rozważyć, mówił do siebie podcinając konia, dziewczyna musi się przyznać, a potem pomyśle co czynić. To tylko pewna że więcej pana Hilarego widzieć nie będzie.

Wieczorem, przybywszy na spoczynek pan Grzęda zastał córkę siedzącą przy kominku, na którym jasne paliło się łuczywo, a była smutna, zamysłona, i nie zważała nawet kto wszedł.

— Justyno, zawołał donośnym głosem pan Grzęda, cóż się dzieje u licha, zapomniałaś moje dziecię, że twój ojciec ciężko pracuje i że miło mu jest, gdy za to, chociaż go wdzięczny głos na progu powita.

— Ah! to ty mój ojczy! ozwała się młoda dziewczyna powstając i całując go w rękę.— Przebacz, sądziłam, że dłużej we dworze zabawisz.

— Nie miałem dzisiaj wiele czynności i przyznam ci się, od niejakiego czasu to miejsce niebardzo mi smakuje.

— Jakto, mój ojczy?

— Tak, tak, później ci to opowiem. Justyno, jestem głodny, jeśli wieczerza gotowa?...

— Nie wiem, mój ojczy, odpowiedzia-

ła niespokojnie spoglądając w około; pój-
dę się dowiem do kuchni.

— Pójdiesz się dowiedzieć? powtó-
rzył pan Grzęda.— Oh! moja droga, da-
wniej tak nie bywało — nie rozumiem
co się to znaczy?

Wyszła Justyna, a wymówka ojca
utkwiała jej w głowie potężnie.

Długo czekał pan Grzęda nim mu na
stół podano, przez ten czas chodził, du-
mał i mówił do siebie:

— To plaga boska, podobni panicze,
i potrzebaż było, aby Bóg jednym z ta-
kich skarał mię na stare lata?— Oh! ja
znam ich dobrze; u nich szczęście dru-
gich, to tyle znaczy, co wypić kieliszek
wina.— Dobrze ja to pojmuję. Nie dzi-
siał żyję na świecie i wiem czém pa-
chnie ich każde zniżenie się.— Dla cze-
góż moje dziecko sobie obrał? Tak, ła-
dna, młoda, niewinna,— podobny przy-
smaczek, to oni lubią.— Widać i dziew-
czyna go kocha, bo zkąd taka w niej
zmiana? To byłoby prawdziwe nieszczę-

ście dla niej i dla mnie biednego człowieka.— Ci panowie tak się umieją wciskać, tak łudzące prawie słówka, tak mile się wdzięczyc, że i nie winię dziewczyny.— Prostaczka, wierzy wszystkiemu, co jej kto powie, a nie pomyśli... ale zkądżeby wiedziała? Nigdy jej nie mówił tego, że są ludzie, którzy jak szatan drugich kuszą i do piekła prowadzą. W Bogu nadzieja, on nie dopuści tak ciężkiego smutku na moją siwą głowę. Dzisiaj, wybadam dziewczynę, i jeżeli poznam, że jakakolwiek ma skłonność do niego, jutro już mię tu niema! Oh! ja nie jestem z tych ludzi, co to dla kawałka chleba i duszę zaprzędają. — Mniejsza o to.— Głodny, będę miał tę pociechę, że dopełniłem tego, co mi sumienie kazało i spojrzę wesolo na dziecko, któremu wstyd nie świeci w oczach.

Justyna sama przyniosła skromny posiłek; usiadła przy ojcu, siliła się na rozmowę; ale w jej całym obejściu się widać było przymus.— Uważał to sta-

ry Grzęda, ale udawał że nic nie spostrzega.

— Po wieczery rzekł do córki:

— Justyno, tyś wychodziła nim przyjechałem?

— Nie, mój ojczy, ciągle bylam w domu.

— To chyba mi się przywidziało, rzekł pan Grzęda, jadąc widziałem cię w ogrodzie i głos twój słyszałem.

Dziewczyny twarz zapłonęła, jak ogień.

Pan Grzęda jakby nie zważał na to mówił dalej:

— Nawet zdawało mi się, że ktoś jeszcze był z tobą.

Justynie łzy zakręciły się w oczach i padła do nóg ojcu, mówiąc:

— Przebacz, przebacz, mój ojczy.

— A więc moje domysły były prawdziwe? rzecze łagodnie ojciec podnosząc Justynę. Ty kochasz pana Hilarego wszak prawda?

— Tak mój ojczy, więcej niż moje życie.

— Biedaczko! zawołał pan Grzęda, pa-

trząc czule na swoje dziecię.— A czy nie pomyślałaś jaki smutek sprawisz staremu ojcu i sobie?

— Ja nic nie myślałam, mój ojczu. Ja go kocham i nic więcej.

— Oh! moje dziecię, moje biedne dziecię; strasznój ofiary będę od ciebie wymagał, ale twoje i moje szczęście czyni ją konieczną.

— Jakiej, jakiej, mój ojczu?

— Cierpliwości, Justyno.— Zbierz całą uwagę, abyś mogła mię słuchać i zrozumieć.— Ludzie nie są równi w obliczu siebie.— Świat potworzył stopnie i różnice, których bezkarnie przekraczać nie pozwala.— Czy wiesz jesteś ubogą, biedną dziewczyną, syn twojego pana, albo raczej mojego pana zniżając się do ciebie, jest owym jastrzębiem, który niespodzianie z góry spada na trwożną gołębicę.— Rozumiesz mię?... Masz się go wyrzec i masz wyrzec na zawsze.

— Ojczu, ojczu nie wymagaj rzeczy, która jest nad moje siły.

— A więc dobrze.— Nie chcesz dobrowolnie, musisz uleść okoliczności.

— Oh! ojciec mój, ojciec, miej litość nad twojém dzieciąciem.

— Nie mówmy, więcej o tém.— Justyno, idź do swego zatrudnienia, ja potrzebuję spoczynku.

Groźne spojrzenia ojca przenikły w głębię serca dziewczyny, wzduło się strasznie boleścią, a chociaż oko jej było suche, twarz ciężkie objawiała cierpienie.

Pan Grzęda, mimo że zamierzył iść na spoczynek, długo chodził po izbie, spoglądał często na córkę i wzdychał; biedna dziewczyna nie śmiała oddychać z bojaźni, pocierała powieki chcąc z nich łzy wydostać; ale pozostały suche i serce okropnie bolało.

Położywszy się, pan Grzęda przewracał się z boku na bok, nie spał, i widać ciężka boleść utkwiała mu w pierśsiach.— Dziewczyna także usnąć nie mogła, oboje nrzecież milczeli, bo je-

dno, ani drugie, nie śmiało sobie wzajem dodawać goryczy.

— Bardzo rano wstał pan Grzęda, wybiegł na wieś, do gospodarstwa i około dziesiątej, przyszedł do dworu.

Żądał widzieć się z panem i wpuszczony do jego pokoju, po oddaniu unizonego pokłonu, rzekł:

— Przebacz Jaśnie Panie, że w ciągu roku, na czas najwięcej roboczy, będę żądał uwolnienia mnie od służby.

— Cóż to ma znaczyć panie Grzęda? zapytał zdziwiony pan Bułatowicz; zdaje mi się, że nie dałem ci powodu uskarżania się — czy czasem, mój syn lub żona?...

— Nie panie, nie mogę skarżyć się na nikogo, owszem, byłem bardzo kontent z mojego miejsca i gdyby nie ważny wypadek...

— Jaki wypadek?...

— Wypadek, który mię tylko obchodzi i nie pytaj pan o niego, bo odpo-

wiedzieć prawdy nie mogę, a kłamać nie lubię.

— Nie rozumiem cię, panie Grzęda. — Rozważ tylko dobrze, ja potrzebuję ekonoma, ty potrzebujesz miejsca i czy to dla nas będzie dogodnym?

— Już rozważyłem — inaczej być nie może. — Jako o jedyną łaskę proszę cię, panie, uwolnij mię, bo wrazie gdy mi będziesz odmawiał, stanę ci się nieposłusznym, czego także nie pragnę.

— W przykrym mię stawiasz kłopoty, panie Grzęda.

— Ja w nierównie jestem przykrzejszym.

— I cóż mam z tobą robić?

— A więc pan pozwalasz?

— Wierzaj mi, że niechętnie; nie chcę jednak być przyczyną twoich trosk i udręczeń, bo spodziewam się, że z ciężkiej potrzeby ten krok uczyniłeś.

— Tak jest, Jaśnie panie, odpowiedział pan Grzęda, ściskając kolana pa-

na Bułatowicza i wierzaj mi, że serce moje, a nie ja tobie dziękuje.

— Pragnąłbym jednak wiedzieć, co cię skłania do porzucenia mię tak nagle?

— Powtarzam ci, panie nie badaj; być może, że przyjdzie czas, w którym cię przekonam, że równie dla ciebie, jak dla siebie dobrze uczyniłem.

— Dla czegoż więc nie masz powiedzieć?

— Dla mojej sławy i dla twojej, panie spokojności. — Zaklinam cię, panie nie badaj więcej. — Żegnam cię, panie dodał, znowu ściskając kolana pana Bułatowicza, dziękuję za wszystko dobre, co od ciebie doznałem i przepraszam, jeśli kiedykolwiek nie zdołał ci się podobać.

To rzekłszy, pan Grzęda odwrócił się i wyszedł. — Pan Bułatowicz, który z przywyknienia lekceważył każdego niższego od siebie człowieka, w wiernym słudze, nie mógł wynaleść złej stro-

ny, i bardzo lubił ojca Justyny; czuł dotkliwie jego oddalenie się i badał w sobie przyczyn, które go do tego kroku skłoniły.

Daremna! niczego się nie domyślał i poprzestał na narzekaniu, że dobrego człowieka utracą.

Pan Grzęda powróciwszy do domku, który zajmował, a który był położonym w niejakię odległości od dworu i wprost ogrodu, który nazywano angielskim, rzekł do swojej córki.

— Justyno, już nie mam tutaj miejsca, musimy się oddalić, a oddalić natychmiast.

— Jakto, mój ojczy? zapytała drżąca Justyna.

— Nie inaczej; musimy to miejsce opuścić, i do tego natychmiast; nie trać więc chwili czasu i zajmij się wypakowaniem rzeczy, bo fury przyjdą zaraz— Prawda, nie wiele mamy, ale co jest zabrać potrzeba.

Justyna zadrżała; jej myśli powikłały

się, sama nie wiedziała co ma począć, i stała jak martwy posąg. — Ojciec mówił dalej:

— Bądź spokojną, moje dziecko, nie pomrzemy z głodu, póki ja żyję. — Pan Bóg o wszystkich ma staranie i tych, którzy mu wiernie służą, nie zapomni.

No, krzataj się dziewczyno, nie ma czasu do stracenia i ja załatwiwszy inne czynności, przyjdę ci pomódz.

Wyszedł pan Grzęda pozostawiwszy córkę na tem samym miejscu, na którym stała.

— Biedaczka, czując się wolniejszą, spojrzała w około siebie, załamała ręce i załala się łzami.

— Oh! mój Boże; mój Boże, mówiła. I cóż się stało takiego?... A więc mam się wyrzec całej rokoszy życia?... Mam go więcej nie widzieć?... Oh! tego przeżyć niepodobna! Ja go tak kocham. — A i on musi o niczem nie wiedzieć, bo przecież wynalazłby jaki środek, prze-

cież nie pozwoliłby mojemu ojcu tak nagle się oddalać— pewno, pewno nie wie o niczém.

I biedaczka stanęła w oknie, spodziewając się, że napotka ulubionego, zobaczy go, da mu znak i znajdzie sposobność rozmówienia się.

Stała i stała długo przy oknie, nikogo nie było widać, aż w końcu, turkot dał się słyszeć i zajechały dwie fury przed dom, a za niemi weszeli i ojciec.

— Justyno, rzecze cóż nic nie robisz? to próżno, próżno, musimy wyjechać, a czém wcześniej, tém lepiej. — Dalej za mną, dziewczyno, weźnijmy się razem do roboty.

— To mówiąc, pan Grzęda zrzucił kapotę i zaczął pakować rzeczy. — Justyna chociaż mniej chętna, musiała iść za jego przykładem; przecież jedna myśl tkwiła w jej głowie, aby uwiadomić pana Hilarego.

Korzystając z zatrudnienia ojca, dor-

wała się ołówka i kawałka papieru. — Napisała na nim kilka wyrazów do pana Hilarego i poleciła służącej zanieść karteczkę do panicza.

Właśnie pan Hilary siedział w szlafroku i palił fajkę, gdy mu podano pismo biednej dziewczyny. — Przeczytał, zastanowił się i odgadł, że krok pana Grzedy on spowodował.

Odpisał więc na prędce.

„Ulegnijmy konieczności na chwilę, przysięgam ci, moja miłość wszystko pokona. — Donieś mi tylko, gdzie będziecie mieszkali i to jak można najprędzej; ja na wszystko znajdę sposoby. — Nie chcąc obudzać podejrzeń, widzieć się z tobą nie mogę; ale wierzaj mi, że jesteś dla mnie najdroższą.”

H.....

Odebraną karteczkę, ucałowała Justyna, schowała za gors i z pilnością wzięła się do pakowania rzeczy. — Wo-

la kochanka skłoniła ją, że nawet z chęcią wypełniała rozkazy ojca, bo sądziła, że słowo pana Hilarego jest największą pewnością i że dopełnienie jego życzenia, nową jest dla niej zasługą.

W kilka godzin, wozy były wypakowane rzeczami, zaszła parokonna bryczka i pan Grzęda, wraz z córką, opuścił majątność pana Bułatowicza.

Przed oddaleniem się, Justyna kilkakroć zapytywała ojca, gdzie wyjeżdżają; zbył ją za każdym razem, ogółową odpowiedzią: gdzie nas oczy poniosą. — To było dla niej najboleśniejsem, że panu Hilaremu nie mogła oznaczyć miejsca, w którym mógłby ją znaleźć.

.....H



Obiecała katechkę, ucałowała ją
stąpiła, schowała za sobą i z jakimś
wziął się do pakowania rzeczy. — Wo-

ROZDZIAŁ VII.

ZAMYŚLY PANA HILAREGO, NEGOCYACYE Z MAJOREM, POŻYCZKA, WYJAZD ZA SZUKANIEM DZIERŻAWY.

Oddalenie się Justyny, przykrzejszem było dla pana Hilarego, niżeli sądził z początku.

Drugiego dnia, wyszedłszy do ogrodu i wspomniawszy sobie całą roskosz, jaką znajdował w miłości dziewczyny, coś zabolalo go w sercu, westchnął i chciałby był zobaczyć ją, przynajmniej wie-

dzieć gdzie się znajduje, i czy go zawsze kocha.

Dzień ten upłynął mu bardzo nudno i monotonnie; dawniej oczekiwanie, zobaczenie się, ostrożności, niejaka bojaźń zajmującym czyniły życie; teraz jedno i to samo — jeść, spać i fajkę palić.

Zaczął więc myśleć pan Hilary jakinby sposobem uprzyjemnić życie, coby uczynić, aby posiadać Justynę, i znalazł jeden środek, środek podług niego wyborny, ale zawsze siebie mający na celu, i poświęcający innych dla siebie.

Postanowił więc pan Hilary ku swoim zamiarom nakłonić ojca, który już zgodził się na to, aby jego syn nie wracał do stolicy; ale jeszcze nie obmyślał co by z nim począć. — Pan Hilary zamierzył życie wieść niezawisłe, a dom rodzicielski zawsze mu był przeszkodą. Dalej więc do matki z przelożeniami, łudzającymi nadziejami, i tyle dokazał, że ta przyrzekła pomówić z ojcem, aby pauu Hi-

larem wzięść dzierżawę, na której on przyrzekał jak najlepiej się rządzić, być oszczędnym, pracowitym i dorobić się nawet majątku.

Z całą swoją wymową, pani Bułatowicz przedstawiła mężowi najlepsze zamiary syna, co mogła od siebie na jego obronę dodała, i zyskała zezwolenie czulego ojca, pod warunkiem, jeżeli tylko dostanie pieniędzy.

I tę ważną przeszkodę do usunięcia wzięła na siebie pani Bułatowicz. — Zapropoowała więc mężowi: że gdy nie chce pożyczyc na następne numera hypoteki, trzeba skłonić majora, aby swego miejsca ustąpił, na co pewnie się zgodzi, albowiem i on potrzebuje pieniędzy, i czeka na nie niecierpliwie chcąc swojego Kamila jak najrychlej na uniwersytet wyprawić.

Nic temu nie miał do zarzucenia pan Bułatowicz — pieniędzy zawsze potrzebował, syna chętnie chciał pozbyć się

z domu; nadto, jedna z córek miała konkurenta, i o wyprawie myśleć było potrzeba.

Jakkolwiek nad zaciągnięciem długu zadrżec było potrzeba, albowiem dobra Czarny-bór, znaczne ciężyły wierzytelności, mianowicież zaś Towarzystwo Kredytowe, pan major, i za nim długi szereg, nie licząc summ w dobrej oddanych wierze; przecież pan Bułatowicz liczył na polepszenie się czasów, na wygraną na loteryi, w końcu, na założenie cukrowni, którą oddawna projektował, a której wybudować nie mógł dla braku odpowiednich funduszów.

— Zgoda, rzecze do żony; niech tylko Kasper ustąpi swojego miejsca, ja pieniędzy dostanę. Gdybym wziął sześćdziesiąt, lub pięćdziesiąt tysięcy, na dzierżawę dla Hilka oddam dwadzieścia tysięcy, na wyprawę Klotyldy dziesięć, to fabrykę cukru za resztę mogę założyć. To tylko sęk, czy major ustąpi, bo on

i tak z siebie zrobił ofiarę, gdy Towarzystwu Kredytowemu pierwszego miejsca ustąpił, a wziął na rzecz swojej należytości zaledwie parę tysięcy.

— Z panem Kasprem najmniejsza, odrzekła małżonka; on ma dobre serce, i pewnie w potrzebie nie odmówi swojej pomocy.

— I ja tak sędzę, ale nie śmiem go prosić.

— A więc ja udam się do niego.

— Wszak jesteś z nim pogniewana?

— To go przeproszę.

— Chyba. — Ale czasem major ma swój upór, i kiedy kto do niego się garnie, osobliwie dla interessu, to gotów się i tyłem odwrócić.

— Już ja to biore na siebie.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział pan Bułatowicz, i zaczął chodzić po pokoju, żona wyszła i wzięła się do wykonania swojego planu.

Po obiedzie z córkami udała się na

przechadzkę, i niby z niechcenia wstąpiła do mieszkania majora.

Przyjął ją grzecznie, dziękował za pamięć i wreszcie, ze swoim Kamilem był na herbacie u brata.

Drugiego dnia, proszony na obiad, przyjął tę grzeczność. — Rozmawiano z nim o interessach, słuchano go uważnie, chwalono bardzo Kamila, i zupełne pojednanie nastąpiło z panią bratową.

Trzeciego dnia, pani Bułatowicz przystąpiła do negocyancyi i tak wymownie umiała odnalować potrzeby, tak zręcznie trafiła w słabą stronę majora, tak umiała wmówić w niego pewność, że poczciwy żołnierz zezwolił na wszystko, co tylko chciała.

Mając zezwolenie brata, pan Bułatowicz czynnie chodził za wypożyczeniem pieniędzy, i chociaż na ogromny procent, bo podobno dwadzieścia od sta, zdołał wydostać czterdzieści tysięcy. — Opis był nader mocny, groźny i wraże

ucybieńcia terminu, wielkie zapowiadał niebezpieczeństwo.

W tym czasie, pan Hilary otrzymał wiadomość od Justyny. — Doniosła mu że ojciec jój osiadł w małym miasteczku o kilka mil odległym, że oddalenie się jego było skutkiem ich wzajemnej miłości, że mimo zakazu ojca, zawsze go kocha, że pragnie go widzieć, i że on najdroższym jest dla niej na świecie.

Po odebraniu bileciku Justyny, pan Hilary wyjechał nazajutrz, parę dni nie był w domu; ale nie umiemy powiedzieć, czy widział swoją kochankę, czy do niej jeździł, lub czy czas u bezzennych sąsiadów przepędził.

Za powrotem, zastał ojca, który dostawszy pieniędzy, miał ziścić jego zamiary.

Czterdzieści tysięcy, które pan Bułatowicz pożyczył, takie miały przeznaczenie: piętnaście, do dwudziestu tysięcy na

dzierżawę dla pana Hilarego, którego zamierzył ożenić, i upatrywał w okolicy stosownej panny; pięć tysięcy miał wziąć do ręki major, tak na własne wydatki, jak niemniej na wyprawienie Kamila do uniwersytetu — pozostałe zaś pieniądze miał pan Bułatowicz włożyć w fabrykę cukru, na której ogromne już obliczał korzyści. — Niebawem przecież, musiał się wyrzec pan Bułatowicz tej nadziei, albowiem pewnego dnia, przybyło kilku żydków, z którymi chodził długo po dziedzińcu, i w końcu wypłacił osiem tysięcy.

Było to przy końcu maja; w czasie, w którym jest najwięcej zatrudnień gospodarczych, w którym zwykle zawiązują się układy o dzierżawy, w którym każdy chce sobie przyszłość zapewnić i uprzędzić świętojańskie terminy, które nie jednego kłopotą. Pan Bułatowicz więc, wcześniej myślał o stosownej dzierżawie dla syna, i dla tego poczynił ku temu kroki.

Niebawem, bo w kilka dni, otrzymał list, z którym wszedł do majora:

— Mój kochany bracie, rzecz, właśnie piszą mi, że są do wydzierżawienia dobra, a nawet jak wnoszę z opisu, dość umiarkowanej ceny; trzebaby, mój drogi wyjechać, obejrzeć, zawrzeć ugodę, następnie zagospodarować Hilka. — Spodziewam się po twojej dobroci, mój bracie, że nie odmówisz nam rady, ani pomocy.

— W czym mogę być wam użyteczny? zapytał ze szczerością major.

— Chciałem cię prosić, panie Kasprze, odrzekł pan Kajetan, abys pojechał z nami, przejrzał wszystko, i pomógł w zawarciu układu.

— Chętnie, bardzo chętnie, mój bracie. — Wiesz, że wszystko cokolwiek cię obchodzi, i dla mnie obojętnem być nie może.

Prawda, mam ja o czym myśleć, bo czas niedaleki, że Kamila wysłać należy

na nauki; — ale kiedy potrzeba wymaga....

Prócz tego, dobrze że chłopiec nim na obcą wstąpi ziemię, pozna nieco swoją, zabawi się, przejedzie. — A więc kiedy każesz, mój bracie?

— Po jutrze, odpowiedział pan Kajetan — wiesz, że czas krótki i opóźnić się nie można.

— A więc zgoda — pojedziemy we czterech, ja i mój Kamil, ty bracie i Hilary. — Jak sądzę, Błotniki, wszak tak się nazywa owa wieś, o którą pojedziemy?

Pan Kajetan zajrzał w list, który z sobą przyniósł i odpowiedział:

— Błotniki, blisko Ćmielowa, w Opatowskiem.

— Blisko Opatowa? Wybornie; w tej okolicy znam bardzo godnego człowieka, kilkanaście lat go niewidziałem, i miło mi będzie... Wszak możemy wstąpić, mój bracie?... Nawet jak sądzę, pan Glebiński bardzo nam być może użyteczny;

zna tamtą okolicę, wie stosunki obywateli, nie obcy mu sposób gospodarowania, i w wielu rzeczach, dobrej rady może nam udzielić. Dobrze, bardzo dobrze. Jestem pewny, że i on będzie kontent, gdy go odwiedzimy.

— Zgadzą się na to, odrzekł pan Kajetan, i mając wychodzić, dodał: a więc po jutrze, mój bracie.

— Będę gotowym, odpowiedział major.

Gdy wyszedł pan Kajetan, major przywołał swego siostrzeńca, który nad książką siedział w drugim pokoju, i rzekł do niego:

— Po jutrze Kamilu, pojedziemy o kilkanaście mil drogi, będzie to dla ciebie może ostatnia przyjemność, jaką na łonie rodziny masz kosztować. — Oddalony, a może na lat kilka, pomiędzy obcemi, będziesz żył pracą, nadzieją i dążeniem do obranego celu.

— Jestem ci posłuszny, mój wuju, odrzekł Kamil z pokorą. — Prawda, dodał

po chwili, przykro pomyśleć, że mam być oddalony od ciebie, najdroższy mój opiekunie!; ale myśl, że mam pracować dla przyszłego mojego szczęścia, i dla twojej pociechy, doda mi sił do zniesienia tęsknoty i oddalenia.

— Tak, tak, moje dziecię, odpowiedział major, całując ukochanego swego Kamila, wiem dobrze, że nie znasz nic prócz potrzeby, i że tej ulegasz z chęcią, i bez szemrania. — Ciesz mi to, mój drogi, bo największém złem ludzi jest to, gdy nie chcą ani pojąć swojego położenia, ani uleść potrzebie, która jest wszechwładną panią, i której wszyscy ulegamy. — Po jutrze, jedziemy mój Kamilu, a wiem, że lubisz jeździć i spodziewam się, że tę wiadomość z przyjemnością przyjmujesz.

— Osobliwie z tobą, mój wuju, odpowiedział młodzieniec.

I pocałowawszy majora w rękę, oddalił się do swojego pokoju.

Za nim młodzieńca, którego roztropność majora aż do téj chwili wiodła po drodze rozsądku i miłości bliźniego, straciemy z oczu na czas niejaki, kiedy dążąc do swego przeznaczenia, ma zbogać swój umysł potrzebnymi wiadomościami, nie możemy się wstrzymać od zrobienia kilku uwag nad jego moralno-duchowym usposobieniem.

Poczciwy major, który z potrzeby inuśiał Kamila po ukończeniu szkół zatrzymać niejakiś czas przy sobie, nie wiedząc nawet, wpłynął korzystnie na jego serce i umysł.

Czas dojrzałości, w którym budzą się uspione namiętności człowieka, jest bez zaprzeczenia, najniebezpieczniejszym i całą nań uwagę zwracać potrzeba — Myślał o nim major i wszelkimi siłami starał się go opóźnić. — Wychowawszy dziecię w miłości Boga i bliźniego, w przekonaniu o wyższych celach istnienia ludzi, gdy oddał je do szkół publicznych pragnął, aby oprócz wypełnienia obo-

wiązków, oprócz czystych i niewinnych uczuć, nic w serce, ani w głowę Kamila nie wpłynęło. — Wybrawszy mu za przewodnika młodzieńca o kilka lat starszego i zaleconego mu z nauk, jak również z pięknego prowadzenia się, starał się jego przyjaźń pozyskać, zachęcić do zamięlowania jego wychowanka, do zaprzyjaźnienia się z nim, zgoła do wzajemnego zaufania i miłości. — Długą z nim odbywszy naradę, a z całą szczerością, zalecił mu, aby umysł Kamila starał się zajmować ciągle użytecznymi przedmiotami, aby w chwilach wolnych dozwalał mu przechadzek i zabaw, w których kształci się ciało i większej siły nabiera. — Godna przytoczyć mowę majora:

„Bardzo wiele na tém zależy; mój panie, mówił, namiętności w młodym człowieku, jak najdłużej uspijonemi utrzymać; jest to konieczną tak dla doskonałego wykształcenia ciała, co nie mało stanowi, a równie ważną rzeczą dla wykształcenia umysłu i serca. — Najstosowniej-

szą widzę w tym względzie, wiecznie zatrudniać umysł i ciało, nigdy nie zostawiać chwil znudzenia i nieczynności w których młody umysł lubi chwytac maryl, za niemi gonic i niemi się pieścić.”

„Umysł zajęty ważnemi przedmiotami, serce czystém uczuciem miłości rodzicielskiej, braterskiej, albo bliźniego, ciało ciągłym ruchem i pracą, nie pozwalają przystępu, ani namiętnościom, ani pragnieniu rokoszy, ani w końcu, nudom, które koniecznie szukają lekarstwa. — Ten czas najstosowniejszy do nauki, osobliwie do przedmiotów, w których potrzeba całego natężenia umysłu, np. matematyka, którą uważam za jedyną do rozwinięcia zdolności.

Życie miękkie, wygody, nieczynność, nie uwierzysz pan ile wpływają na przyspieszenie dojrzałości, której ja przeciwnie wszystkim prawie ojcom i matkom, nie pragnę; ale chciałbym jak tylko można, opóźnić. — Masz pan oczewi-

sty dowód na wieśniakach; u nich zwyczajnie chłopak w latach osiemnastu, to dziecię; dziewczyna w piętnastym roku jeszcze prawie niezdeterminowana istota. Weź pan młodzież po szlacheckich dworach, albo po miastach — chłopiec piętnasto-letni, dojrzały kawaler, który już ma potrzeby mężczyzny, pragnie je zaspakajać, wydrzec się jak można najprędzej, od książki, używać świata, prędzej zrównać się ze starszemi i swojej woli używać. — Panienska w dwunastu latach, już zupełnie dorosła panna; myśli tylko o strojach, chce się podobać, zachwycać i wszelkie myśli ku temu skierowuje. — Już wówczas przepadła nauka. — Suche przedmioty naukowe nie mają nic zajmującego, same w nich nudy, żadnego nie ma zajęcia — chyba piękne talenta kształcić pragnie, ale tylko dla tego, że są środkami podobania się.

„Czytanie książek, w których zajmuje się wyobraźnia w których przyjemnego do-

świadcza się drżenia i niespokojności, a nad któremi nie trzusi się głowa i pamięć, najszkodliwszy wpływ wywiera; albowiem rozkołysywa serce i ducha, każdą rzecz trudniejszą czyni nudną i przykrą, wlewa w serce nieodgadnione pragnienia, i mimo wznoszenia ducha, czyni go sprzecznym z rzeczywistością, lekceważącym obowiązki, gardzącym zwyczajnym światem, a wrywającym się do krain nadziemskich, w których żyć nie jest udziałem człowieka.

„Nie mówię o innych następstwach, bo i pan możebyś pojąć ich nie mógł.

„Proszę cię panie, aby mój Kamil, na żadne nie uczęszczał widowiska.— W jego wieku, nigdy one nie wpływają korzystnie.— Sztuki teatralne, taniec, zawsze odrywają od rzeczywistości, robią silne wrażenia i choćby nawet moralne, zupełnie inny częstokroć wywierają wpływ, niżeli sobie zamierzył autor.

„Na poznanie literatury i teatru, dość

będzie Kamil miał czasu, gdy dojrzeje, gdy jego umysł dokładnie się rozwinie, gdy fałsz pozna choćby w pozorze prawdy, gdy ustali się jego sposób widzenia i pewny sąd wyrobi o rzeczach.

„Samą naukę historyi, ja uważam przedwczesną.— Dla nieumiejących myśleć porządnie, więcej z niej wyniknie szkody jak korzyści.

„Człowiek tylko może godnie ocenić człowieka; zdrowy rozsądek rzeczywistą uznać jego wartość, czyste pojęcie rozwikłać wypadki.— Mojém zdaniem, lepiejby było dla mniej dorosłych dzieci, wybrać z historyi godne naśladowania przykłady i w chwilach wypoczynku, dawać im poznać cnoty i zasługi mężów, którzy pracowali dla dobra ludzkości”.

Major, chociaż zdaleka, kierował wychowaniem Kamila, narzekać na niego nie miał powodu, a chociaż chłopiec mało miał pozoru, rzeczywista wartość była w nim samym.

Do chwili rozdzielenia się ze swoim opiekunem, młody wychowaniec, świat swój widział w wujaszku; jego kochał, jego szanował; z resztą, czułość jego odzywała się tylko wtedy, gdy nędza albo choroba pojawiła się pod oczy. — W szkołach, jego przewodnik drugie po majorze zajął już miejsce, współkoledzy o tyle byli od niego kochani, o ile ich stan niezamożny, możliwość przyniesienia im pomocy, rady, albo tylko łzy, porywały jego serce ku sobie.

Trudno było znaleźć ucznia, któryby więcej miał koleżeńskiej miłości, bo też Kamil swoim dobrem sercem, swoją życzliwością, umiał na nią zasłużyć. —

Wśród pracy, zajęcia, niewinnych zabaw, doszedł lat dwudziestu.

Dwadzieścia lat! nie jeden młodzieniec do tego czasu, przeżył może połowę swojego życia, nie jeden stracił swoje uczucia, nie jeden utracił wia-

re, nie jeden skłonił się połową do grobu.

Na szczęście, Kamil ciałem był jak rozwijający się kwiatek; duszą czysty jak anioł; sercem swobodny jak dziecko.

Prawda, nie raz odezwały się w nim pragnienia, nie raz serce uderzyło mocniej. nie raz na wspomnienie miłości, mocny rumieniec wybiegł na lica; ale sposób życia, zatrudnienie, wytknięta droga przyszłości, kazały milczeć żądzom i przywoływały do pełnienia swoich obowiązków.

W tym czasie, ukończył szkoły i bawił blisko rok na wsi. — Major troszczył się, że nie może wyprawić go do uniwersytetu; ale ten czas nie był straconym, bo Kamil żył jak dawniej, był przy ukochanym swoim wujaszku, pracował i powoli rozwijał wiedzę, którą szkolne przedmioty napelniły nieporządkiem, dotąd nierozwikłanym.

Rok czasu, a rok myślenia, postawił

wszystko na swoim miejscu, dał poznać użyteczność rzeczy, pozwolił zajrzeć nieco samemu w siebie, zbadać się nieco i zebrać skarby na przyszłe lata żywota.

Powrócił na łono pięknej, uśmiechającej się natury; dziecko nie zepsute, pokochał dobrą zawsze matkę; myśląca istota podziwiał jej bogactwo, wielbił wielkość Stwórcy i w chwili, gdy jego umysł najczynniejszy, który innych do zwątpienia prowadzi, badał przyczyny ze skutków, albo skutki wyprowadzał z przyczyn; wszędzie widział harmonią i porządek, wszędzie miłość i wielkie cele Stworzenia. (d)

(d) J. Rousseau mówi: „Gdy wiek krytyczny (dojrzałości) się zbliża, należy przedstawiać młodym zajmujące przedmioty, ale nie podniecające; należy dać polot wyobraźni, przez przedmioty, nie zapalające zmysły, ale podwajające działalność.— Należy oddalić ich z wielkich miast, gdzie stroje i nieskromność

Tak więc, czas, który major uważał dla swojego wychowanka straconym, błogie przyniósł owoce, bo pierwsze jego myśli zwrócił ku dobrej zawsze naturze, ku Bogu Stwórcy, ku czystej nauce Chrystusa i ku miłości bliźniego.

Wpływ, jakiego doznał na serce swoje, w późne lata jeszcze odzywać się będzie i przyniesie drogą pociechę słodkich i rzewnych wspomnień, pierwszych myśli i pierwszych uczuć.

Wracamy do zaprojektowanego wy-

kobiet, uprzedzają prawa natury i wszystko stawia pod oczy roskosz, — której znać nie powinni, dopóki wybrać jej nie będą umieli.— Dobrzeby było, aby powrócili do dawnych zagród, gdzie wiejska prostota, mniej sprzyja namiętnościom: albo, jeżeli zamilowanie w sztukach zatrzymuje ich w mieście, niechaj te sztuki nie pozwalają im zgubnej gnusności.— Starannie wybierać należy młodym ludziom towarzystwo, zatrudnienie, zabawy, przedstawiać obrazy tkliwe, lecz skromne, które rozczulają, a nie

jazdu Pana Bułatowicza i majora, celem szukania dzierżawy dla pana Hilarego.

Trzeciego dnia po zrobionej propozycji, około dziesiątej rano, zaszedł przed mieszkanie właściciela majątku, lekki powozik, w cztery zaprzężony konie, z ludźmi w liberyi i w tyle przywiązywany do niego tłomokiem. Za powozem, przyszła lekka najtyczanka, w parę gniadoszów zaprzężona, na której koźle wąsaty siedział stangret.

uwodzą, które podniecają czułość, a nie zmysły.— Pamiętajmy, że wszędzie zbytek jest szkodliwy i że niepowściągnięte namiętności, czynią więcej złego, niż uniknąć pragnęlibyśmy.— Nie idzie o to, aby młody człowiek był strażnikiem chorych, aby jego oczy nakarmić widokami boleści i cierpienia, żeby go oprowadzać po szpitalach i placach śmierci, lecz należy dać mu poznać dolegliwości ludzkie.— Uderzany ustawicznie jednakowemi widokami, nie uczuje ich wrażenia: przywykniecie wszystko stanowi.—

Tak powóz, jak bryczka, stały przed domem jaką godzinę czasu, albowiem pan Hilary podług swojego zwyczaju, wstał dopiero o dziesiątej i potrzebował przynajmniej godzinę czasu, aby się ubrać.

Major w letnim z białego płótna płaszczu, z dubeltówką na ramieniu; Kamil w letniej kurtce, bardzo dogodnej na kurz i gorąco, przeszli ze swego mieszkania, udając się do pokojów państwa Bułatowiczów i zabawiwszy tam chwilę,

Dla tego, lekarze obojętnie patrzą na chorych i umierających.

„Niech młody człowiek zna przeznaczenie człowieka i cierpienia sobie podobnych: lecz niech często nie będzie ich świadkiem. — Przedmiot dobrze wybrany i pokazany w stosownej chwili, na miesiąc czasu rozculi go i da powód niejednej uwadze.

„Niech nie to, co widzi; ale wspomnienie tego wyradza w nim sąd: wrażenie zaś, niech mniej pochodzi z przedmiotu,

wyszli na wystawę, gdzie postanowili czekać młodego i starszego pana Bułatowicza.

W pół godziny może, wyszedł pan Kajetan, krzyknął na stangreta aby podał powozik, wsiadł w niego naprzód, a za nim major. W bryczkę, wsiedli; pan Hilary i Kamil; i wszyscy żegnani przez panią Bułatowicz i jej córki, ruszyli w drogę.

a raczej ze strony, z której na niego spoglądamy.

„Tak szcędząc przykładów i nauk, młody człowiek pójdzie drogą przez naturę wytkniętą.”

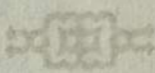


Wysokiej wsi...
 wsi...
 wsi...

W...
 W...
 W...
 W...
 W...
 W...
 W...

W...
 W...

W...
 W...
 W...



ROZDZIAŁ VIII.

UGODA O DZIERŻAWĘ, KRÓTKI OPIS MIEJSCA DOM PAŃSTWA GLEBIŃSKICH.

Podróż, zmiana miejsc, rozliczne widoki, bogata wegetacya naszej ziemi, tysiące myśli nasuwały poczciwemu majorowi. — Nie tłumił ich sam w sobie, ale wszystko co miało związek z potrzebami miejscowemi, ze szczęściem ludu, z pomyślnością ogólną, udzielał swojemu bratu. — Zdrowe uwagi majora godne

są przytoczenia i pominąć ich nie możemy.

— Otóż mówił major, gdy powóz przesuwał się przez zarosły chwastem ugór, którego od kilku lat ręka ludzka nie tknęła.— Otóż jak niesłuszne nasze utyskiwania na przeludnienie! wszak widzisz pole, a pole urodzajne, które woła tylko aby człowiek dał mu swój pot i pracę, a ono mu w zamian plon obfity. — Obmierz okiem jaka to przestrzeń, policz ile korzyści dać może, i ile ludzi wyżywić! — Przecież wiele jest ludzi bez chleba, wiele utyskujących na smutne przeznaczenie, i goniących wiatr po świecie!... U nas, wiele pól możesz naliczyć równie odlegiem leżących; dla czego? bo stan rolnika jest lekceważonym, bo każdy chce być panem, nikt sługą, bo każdy chce spożywać owoc pracy drugiego, a sam chce lekko zarabiać na kawałek chleba.

— Ale bo, mój bracie, czasem to ro

ła jest niewdzięczną, i nicopłaca starań rolnika.

— Prawda, zgadzam się na to. Ziemia uprawiona potem człowieka, chojnie mu się opłaca, ale ziemia zaniedbana jak zły sługa, traci powierzony jej kapitał. — Jakże chcesz, aby ziemia obfity plon ci wydała, jeżeli tę ziemię za ledwie poruszysz, i rzucisz w nią ziarno, które nie ma gdzie rozpuścić korzeni? — Jakże chcesz znaleźć obfity plon, jeżeli nie wczasie uprawisz ziemię, jeżeli nie wczasie zasiejesz, albo rzucisz niezdrowe ziarno?

— Tak bezwątpienia, odrzekł pan Kajetan; lecz samo złe jakie widzisz, nie wynika z niedbalstwa; ale jest następstwem smutnych konieczności. Jakże możesz obwiniać człowieka, który mając znaczną część gruntu do uprawy, nie posiada dostatecznej liczby rąk, albo potrzebnego kapitału? Czyż można jemu przy-

pisac winę, że grunt źle i niewczasie uprawny?

— I w tym przyznałbym winę, sądząc surowo i odwołując się do potrzebnej działalności gospodarza, odrzekł major. — Ale są wypadki, smutne położenia, przygody i nieszczęścia, które na litość, ani na naganę zasługują. — Pomijam podobne wypadki, a mówię o położeniach, nawet i złych, które także nie są z własnej winy właścicieli. — Policz mój bracie, wiele jest gospodarzy z ludzi młodych, nie znających potrzeb roli, którzy gospodarując, we wszystkim spuszczaają się na służących, a nawet na takich, których ani uczciwość, ani pilność, ani znajomość rzeczy, nie poręcza za wierną usługę, Pod ich okiem, kiedy ziemia jest uprawiona, i jak uprawiona, nie wiele to obchodzi; jakie wrzucone ziarno, i w jakim czasie, zupełnie rzecz obojętna; jaki przyniesie plon, nie suszą sobie głowy, bo może święty Jan, albo inny jaki

święty na inne znowu przeniesie ich miejsce. — Policz, mój drogi, wiele jest takich gospodarzy, u których znajdziesz cztery konie cugowe w stajni, parę powozów, kilka sani ozdobnych, bryczek i karjolek w wozowni, gdy w pole [nie ma] czém wysłać pługów, bron i radeł, gdy popsute wozy, nie pozwalają drzewa z lasu przywieść, ale zmuszają kucharza, lub kucharkę, wyciągać kolki z płotów, albo obdzierać z nich chrust. — Policz innych znowu gospodarzy, często drobną szlachtę, którzy mając kilku poddanych, o niemal więcej mają w domu rodziny bezczynnej i trawiącej, albo co gorsza po miastach, niszczącej swoje fundusze? — Policz, mój bracie, owych modnych dzierżawców, którzy sąsiadującemu z niemi możnemu magnatowi, nie chcą w niczem ustąpić. — Którzy, jak tamci chcą mieć ekwipaże, służących, guwernerów i guwernantki. — Policz owe modne gospodynie, które wstydzą się zająć dro-

biem i śpizarnią; które wyspiewują trele przy fortepianie, gdy przeniewiercza szafarka, lub klucznicza niszczy je? -- Policz owych paniczów, którzy mają zamiar z kilkunastu tysięcy zrobić majątek i rzucają się na dzierżawę. — Żyjąc jak panowie, trawiąc rocznie prawie swój majątek, wyrzekają, że tracą, że nie mogą wychodzić na swoje. — Prawda, są nieprzewidziane wypadki, rozliczne kłęski i te zupełnie nie wchodzą w moje rozumowanie. Przypomnij sobie, mój bracie, czyś słysząc jaki wypadek, nie słyszałeś zarazem jaka była jego przyczyna? Co do mnie, nie mało obilo się o moje uszy, podobnych zdarzeń, i prawie zawsze widziałem, albo nierząd, albo zbytek, albo lichwy, bo i to trzeba pamiętać, mój bracie, że nasza szlachta sprzedając żydom zboże na pniu, albo zaciągając na nie długi, po prostu służy żydom do czasu, aż ci przenikając, że ten niepłatny sługa zawiedzie ich, pozbawia-

ja nawet możności pracy. — Smutny to stan zaiste! i wartoby zastanowić się nad nim, gdzie jakiego potrzeba użyć lekarstwa, użyć i starać się przekonać, że nasza pomyślność leży w roli. — Nie ganię ja bynajmniej przemysłu, on dla samego rolnictwa jest koniecznym; ale uważam szkodliwem rzucanie się ludzi w tę stronę, gdzie nie znajdują pracy, podają się i stają nieużytecznymi, a nawet szkodliwymi członkami towarzystwa. — Wiele to najpiękniejszej ludności wszystkich stanów, trawi nasza stolica? mówię trawi, bo dzisiaj nikt z młodych nie chce na wsi zamieszkać, każdemu się coś roi, rzuca się, chwieje, pada nakoniec i albo przedwczesną śmierć znajduje, albo nabwszy złych nałogów, osłabiony i ciężki przychodzi na wsi szukać chleba, i utraczonego zdrowia. — W tym względzie, takżebym powiedział, że to jest skutek wychowania.

Długo rozmawiał major, długo słuchał

cierpliwie pan Kajetan; lecz jak wszystkie nauki nie wszystkich zajmują, tak jego usposobiły do snu, że przechylił się i zaczął chrapać donośnie.

Major spostrzegłszy to, umilkł i spoglądał w około badawczo; widać że myślał, bo nawet coś na papierze notował, aby na popasie zrobić swojemu Kamilowi uwagi, których nigdy nie pomijał, ilekroć zdarzyło się uczynić je sposobność.

Pan Hilary i Kamil dość długo jechali w milczeniu. — Pan Hilary miał twarz bardzo poważną i zamysloną, Kamil spoglądał wesoło, swobodnie, jak dziecię, któremu się wszystko uśmiecha, i które wszystko bawi.

W rzeczy samej, temperament Kamila był bardzo przyjemny, chociaż ludzie światowi, mogliby go nazwać dziecinnym. Twarz jego zawsze wesoła, chociaż niekiedy przybierała wyrazy myśli, spojrzenie pełne ognia, iskrzące, rzekłbyś ciekawością i pragnieniem życia.

Był to naturalny wypływ z uczuć i wrażeń młodzieńca.

Pragnienia i jego żądze, nazbyt ograniczone; nadzieje, nie szalone, ale możliwe do ziszczenia, nie zostawiły w piersiach, ani owęj goryczy, ani owęj tęsknoty, ani znudzenia, jakie wiedzie za sobą strawione życie, zanadto bliskie pobratanie ze światem. — Każda rzecz dla Kamila miała swój powab, każda urok niewypowiedziany, a tysiące rzeczy nieznanych, nowe zapowiadały, które napotykać bez szukania, tem większych doznawał przyjemności. — Jak kwiatek, trawa, owoc, piękne drzewo, tak samo mruczący strumień, wesół ptaszek, ranek pogodny, piękna natura, przemawiały do duszy młodzieńca. Serce jego pod wpływem natury, nieznając ani zgubnych namiętności, ani żądź, nigdy nie nasyconych, było tak szczęśliwe, i swobodne, jak wzbijający się skowronek w niebio-

sa, gdy nuci wdzięcznie hymn dziękczynny, za życie, za światło i ciepło.

Jak Kamil szczęśliwy był i swobodny w obliczu natury, tak jego serce tkliwe mi przepelniało się uczuciami w śród ludzi. Widok uboższych, cierpiących, kaleków, poruszał go; przenosił się w ich położenie, czuł i cierpiał razem z niemi; całym sercem pomoc przynieść im pragnął, i każdy był w jego oczach bliźnim, mającym równe jemu potrzeby, i podlegający tym samym dolegliwościom. Widok bogacza nie oburzał go wcale, nie zazdrościł mu mienia, widział w jego stanie, jak w każdym innym uczucie wspólne bolesti i większe nad swoje potrzeby. — Nędza, ubóstwo, same nawet cechy spodlenia nie raziły oczów Kamila, widział tam cierpienie, nieszczęście, ale nie widział złości, bo jego serce świeże i niepokalane miało wiarę w cnoty i ludzi. — Kobieta, ten cudowny utwór rąk Boga, tak potrzebna połowa do utwo

rzenia całości człowieka, w oczach Kamila była istotą czystą i niepokalaną, która w trzech stanach dziewicy, matki i żony słodzi życie ludzkości, ociera łzy i uczy cierpliwie znosić udręczenia.— Nie znał, nie wiedział on ani o szpetności uczuć, ani o frymarczeniu niemi, ani o pokalaniu duszy, tej cząstki bóstwa, która człowieka wznosi nad wszelkie stworzenia.

Bez urojeń i marzeń, trudnych do napotkania w rzeczywistości, jakiś cudowny urok otaczał kobietę w oczach Kamila. Nie czerpał on z kielicha rozkoszy, ani znał owych zabójczych trucizn, które zimnym popiołem posypują czyste uczucia, wyniszczają najwonnejsze kwiaty naszych pragnień niewinnych, i owego zobopólnego zlania się w jednej nucie serc młodych kochanków. Prawda, serce młodzieńca wyrywało się nie raz, jak uwięziony ptak w klatce, ale wyrywało się, aby wolno pobujać, odetchnąć powietrzem i lot swych skrzydeł posłyszeć.

Pragnienie to, jakoś ciemno się rysujące, odbijało się westchnieniem, żywszym połyskiem oka, rumieńcem na twarzy — pozostało jednak dotąd niezaspokojone w duszy, jakby dla tego, aby mu w przyszłości tém miłsze było nasycenie. Zgoła, w towarzyskim porządku, chociaż major nie wiele o nim rozprawiał, Kamil widział siebie, jako istotę mającą swoje przeznaczenie, innych jako braci i siostrzyce, dla których w piersiach tylko rzewne i przyjazne uczucie żywić należało.

Jak pod względem charakteru i usposobień umysłu, tak co do uczuć niezmierna była różnica pomiędzy Kamilem a panem Hilarym. Nie dziwmy się bynajmniej, że dla tego, nigdy pomiędzy cioteczniemi braćmi nie nastąpiło zbliżenie; byli dla siebie jakby obcy, jakby różniący się wiekiem i stanem.

Po długiem milczeniu, pan Hilary pierwszy się odezwał; nastąpiła rozmowa, lecz rwała się co chwila, i gdy nie mia-

ła sympatycznego dla obudwu przedmiotu, ucichła znowu, pozwalając drzymać panu Hilaremu, a spokojnie dumać Kamilowi.

Popas, nocleg, dały czas dobremu majorowi uczynić swoje postrzeżenia i uwagi; słuchał ich uważnie Kamil, lekce wazył pan Hilary, jak zwykle ludzie, którzy pełni zarozumiałości, sądzą, że wszystko posiadli, i że wszystkiemu sami podolają.

Podług zdania majora, ludzie podobni największe sobie gotują nieszczęścia, bo jak utrzymuje, lepiej nic nie umieć, niżeli źle umieć.

Drugiego dnia, nad wieczorem, przybyli nasi znajomi do dóbr Błotniki, które właściciel zamierzył wydzierżawić i które pan Bułatowicz pragnął wziąć w dzierżawę dla syna.

Rano, to jest wcześniej niż pan Hilary zwykł wstawać i z wielkim dla niego niesmakiem, major, pan Kajetan i dwaj

młodzieńcy udali się na obejrzenie pól, zabudowań i stanu gospodarstwa.

Po południu, przystąpili nasi znajomi do zgody i za staraniem majora, który umiał jednać serca, spisano umowę — mocą której, pan Hilary Bułatowicz wziął dzierżawę sześćioletnią, za sumę roczną Złp. osiem tysięcy, oprócz podatków i ciężarów.

Około godziny piątej, wyjechali nasi znajomi; lecz nie udali się do domu, ale do posiadłości o milę położonej, należącej do jednego ze znakomitych magnatów, którą znajomy pana Kaspra Bułatowicza dzierżawił.

Pan Glebiński, tak się bowiem ów dzierżawca nazywał, był kiedyś żołnierzem i służył nawet w jednym pułku z majorem. Dobry żołnierz, wyborny kolega, człowiek czynny, pracowity i myślący, powróciwszy z wojska i objąwszy w posiadanie niewielki rodzicielski mająteczek, zaślubił uczciwego rodu kobietę, pełną szlachetnych przymio-

tów, z którą połączyła go sympatya i w której znalazł domowe, spokojne szczęście.

Liczne potomstwo, zdrowe, silne i piękne było owocem zgodnego i przykładowego pożycia małżonków Glebińskich. Wychowanie dzieci kazało czynnie dobremu ojcu czuwać nad stanem majątkowym i myśleć o ich przyszłości. Gdy mu dorosli synowie i pokończyli nauki, umieścił ich w rozmaitych miejscach — jednego w biurze rządowym, drugiego w rządowych zakładach górniczych, trzeciego w znacznych dobrach prywatnych, aby się uczył gospodarstwa i pełnienia obowiązków; trzeciego, który najwięcej okazywał upodobania w naukach, wysłał na uniwersytet.

W tym czasie, sprzedał swój majątek, który chociaż nie wielki nie był przecież obdłużony, wziął w dzierżawę ogromne dobra i synów ściągnął do siebie.

Pan Glebiński słynął w okolicy jako

zawołany gospodarz, jako prawy obywatel, jako rozumny ojciec i jako człowiek zamożny.— Na dzierzawie, wiodło mu się wybornie i w kilku latach, dochód z dobr, w dwójnasób był podniesiony.

Chociaż major dobrze znał pana Glebińskiego, gdy ten służył wojskowo, nie widział go przecież oddawna, a słysząc o nim tyle dobrego, pragnął z duszy, przycisnąć do serca swojego przyjaciela, nacieszyć się pomyślnością, poznać jego żonę i dzieci, nagadać o dawnych czasach i spędzić u niego dni kilka.— Mówimy dni kilka, bo oprócz wyż wymienionych powodów, chciał wniknąć w gospodarstwo, w domowy zarząd, w ducha postępowania i ztąd wyprowadziwszy wnioski, dać naoczną naukę swoim siostrzeńcom.

Gdy udawali się w odwiedziny, major mówił:

— Mój Hilku, podobno ta wizyta dla ciebie będzie najważniejszą, poznać ta-

kiego człowieka jak pan Glebiński, mieć z niego życzliwego sąsiada, w razie potrzeby przykład i radę; to rzecz bardzo ważna, a jestem pewny, że pan Kazimierz, przez wzgląd na dawną naszą znajomość nie odmówi ci, ani swojej życzliwości, ani rady, których spodziewam się, będziesz umiał być godnym.

Około godziny ósmej, nad samym zachodem słońca, stanęli nasi podróżni we wsi, w której zamieszkiwał pan Glebiński.— Porządek, wesołe twarze, czyste szaty, wybielone wieśniacze domki, czynność i ruch dowodziły na pierwszy rzut oka pomyślności i dostatku mieszkańców.— Dziedziniec pełen kwiatów, dom mieszkalny starannie utrzymany, uprzedzały na pierwszym kroku, że pan Glebiński słynny gospodarz, nie jest ani obrzydliwie skąpy, ani niedbałym o przyjemności życia, ani zamkniętym w samym sobie, ani w końcu człowiekiem który małe kółko swojej rodziny za cały świat uważa.

Podróżni byli przyjęci przez gospodynię domu, kobietę już nie młodą, ale w całym ułożeniu, liczne mająca zasoby podobania się — Twarz jej nosiła na sobie szlachetne piętna pięknych uczuć; dobroci, poświęcenia, miłości i łagodności; strój jej, acz skromny, był gustowny i czysty, uprzejme zaś przyjęcie, chociaż nieznanym, uprzedzało, że gospodyni zna świat i lubi w swoim domu mieć gościa.

Pan Kasper Bułatowicz na pierwszym kroku oznajmił, że dawna, a nawet wojskowa znajomość łączy go z znacym gospodarzem; że bardzo jest szczęśliwy, mogąc zaspokoić pragnienie zobaczenia go i uściśnienia przyjacielskiej prawicy. Następnie, przedstawił swojego brata i młodych krewnych, z których pana Hilarego oznajmił jako przyszłego sąsiada.

Wzajemnymi grzecznościami odpowiedziała pani Glebińska i oświadczyła radość męża, jaką uczuje z oglądania tak

niłych gości, mianowiciej zaś dawnego swojego kolegi.

Pan Glebiński był w polu u gospodarstwa i spodziewano go się wieczorem.

Wśród obojętnej rozmowy, jak pomiędzy ludźmi, których jeszcze nie zbliżył czas, ani stosunki, weszła młoda i piękna kobieta, z maleńką dzieciną, śliczną i miłą jak aniołek. Pani Glebińska przedstawiła ją, jako swoją synową.

Mając przy kim zostawić gości, wyszła na chwilę, a rozmowa przybrała nowy charakter.

Wreszcie i słońce zaszło — otworzonymi oknami rozległa się po mieszkaniu woń rozedy i innych kwiatów, a odgłos fletu pastuszego przypomniał naszym gościom, że pewnie niebawem ujrzą gospodarza.

Ziściły się ich nadzieje.— Wysoki, silny mężczyzna, tuszy umiarkowanej, nieco przypruszony siwizną, zajechał przed dom na pięknym koniu, zesiadł zeń i

mając w przedsionku objawione przybycie gości, wszedł do bawialnego pokoju.

Postąpił major, przypomniał dawną znajomość i dawni wojacy umilkli w przyjacielskim uścisku.

Przyszła kolej na pana Kajetana jego syna i Kamila, których po kolei przedstawiał major, a których serdecznie witał gospodarz.

Po krótkiej chwili, która była konieczną dla zaznajomienia się, pan Glebiński rzekł z całą szczerością:

— Abym was, moi lubi goście przyjął tak, jak moje serce pragnie, przebaczcie, że postępować będę jak z prawdziwymi przyjaciółmi; wiecie, że gospodarz nie może być spokojny, gdy nie dojrzy wszystkiego własnymi oczyma — prawda, mam ci ja dobrych wyręczycieli z moich synów, ale to zawsze lepiej kiedy każdy jest na swoim miejscu. — Przebaczcie, opuszczę was na chwilę, załatwię co do mnie należy i powrócę z myślą tą, abym się z wami ucieszył.

— Ah! panie Kazimierzu, odrzekł major, jest to największy dowód, że miłymi jesteście dla ciebie gośćmi.

-- Dzięki wam — odrzekł pan Glebiński i odezwał się do wchodzącej małżonki. — Moja Anusiu, baw panów, ja jak tylko można najprędzej powrócę.

Za chwilę, przez okna, widział major przybywającego konno młodzieńca, później drugiego, trzeciego. — Żaden z nich nie wchodził do pokoju; ale widzieć ich było można zajętych — jeden zapisywał robociznę, drugi płacił najemników, trzeci udał się do gumien, stajen i obór.

Byli to synowie pana Glebińskiego.

Po załatwieniu potrzeb gospodarskich, wniesiono berbatę. — Nakrycie, usługa, czystość zastawy, czyniły gospodyni zaletę.

Z dziedzińca, rozeszli się ludzie, pan Glebiński wraz z synami weszli do mieszkania. — Wczynie wzajemnych przedstawień przybyły trzy, ze strojów po-

znać zamężne kobiety, z niemi dwie dorosłe panny, ale w samej wiosnie piękności. — W końcu, przybył młody mężczyzna, z dwoma małemi chłopczykami.

Na widok jego, zerwał się ze stołka pan Hilary i postąpił ku niemu.

— Ah! jakie szczęście, mój Narcyzie!... zupełnie przepomniałem gdzie jesteś i niespodziewałem się napotkać tak dobrego przyjaciela.

— Ah! jakie szczęście, mój Hilku!... odpowiedział pan Narcyz, serdecznie ściskając przyjaciela.

Znajomi pozostali przy sobie i bawili się rozmową, w której może opowiadali terazniejszość, może dawne wspominali przygody.

W całym towarzystwie panowała jakaś zgodność i harmonja, którą trudno opisać. — Starsi jedno utworzyli koło, młodszy sformowali daleko większe, a że w niem była piękna i zajmująca panien-

ka, która kilkakroć rzuciła okiem na Kamila, biedak rumienił się, wzdychał i sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Czas to wytłumaczy.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

kę, które kęskrot rancie okiem na
 kę, które kęskrot rancie okiem na
 kę, które kęskrot rancie okiem na
 kę, które kęskrot rancie okiem na
 kę, które kęskrot rancie okiem na

KOMIĆ TOMU DRUGIEGO



